GAZETA
LEŚNA i MYŚLIWSKA
DWUTYGODNIK ILUSTROWANY
DLA WŁAŚCICIELI LASÓW, LEŚNICZYCH, MYŚLIWYCH i MIŁOŚNIKÓW PRZYRODY
Redakcja i Administracja: Nowy Zjazd 7. Telefon 248-82. — Wydawca i kierownik literacki Gustaw Buseck-Busecki.
№ 2. WARSZAWA, 15 STYCZNIA 1913 r. Rok II.

Dawniej i dziś!

Leśni panowie, leśne panie,
Dziś wam opiszę polowanie,
Jak bywa ono w nasze czasy,
Gdy Srul wyrąbał ojców lasy,
Jak było dawniej, w miłej dobie,
Której myśliwi leżą w grobie,
Gdy żubr i niedźwiedź, tur i łosie
Mknęły żerować w rannej rosie.

Dziś w modzie wszędy bażantarnia,
W kąt poszła polska dawna psiarnia,
Najwyżej dzik wytresowany
Pada oszczepem zakłówany;
Lecz zwykle—sztucer na sto kroków
Broni całości pańskich boków:
Boć lepiej okiem celnym zmierzyć,
Niżeli w własne siły wierzyć!...

Dziś myśliwego krew gorąca
Nienawiść zsyła na zająca,
Bażanta, kozła i na sarnę,
Które wypędzą huczki karne;
Zaś w dawne czasy z kordelasem
Myśliwy z psiarnią błądził lasem,
A gdy osiadły pieski wroga
Nie przebaczyła ręka sroga.

Dawnemi czasy w znoju, w chłodzie,
Często w bezdrożach, w ciężkim głodzie,
Szukał myśliwy nowych przygód,
Nie czując pragnień żadnych wygód;
Dziś, gdy już parę miotów wzięto,
Wykręca niecierpliwie piętą
Spoziera w koło, czy już panie
Smaczne przywiozły mu śniadanie.

Inne to czasy kiedyś były,
Inne przodkowie mieli siły:
Szli na niedźwiedzia, dzika w knieję,
Jak mówią dawne polskie dzieje!
Dziś wrogiem bażant, zając, sarna,
Kwiczoł lub dubelt, zdobycz marna:
Lecz nie powrócą dawne czasy
Bo Srul wyrąbał polskie lasy.

M. Godlewski.

Polowanie na niedźwiedzie w Zachodniej Syberji.



Od dłuższego już czasu obiecałem mojemu przyjacielowi, zamieszkałemu również na Syberji, wziąć go z sobą na polowanie na niedźwiedzie. Po dość długiem oczekiwaniu nadarzyła się w końcu szczęśliwa okazja wywiązania się z zaciągniętego względem rodaka przyrzeczenia.

Pewnego dnia, a było to przy końcu grudnia, jeden z okolicznych mieszkańców, z którym żyliśmy w przyjaźni, zgłosił się uradowany do mnie z oznajmieniem, że wyśledził kilka niedżwiedzich legowisk, pomiędzy któremi, jak sądzi po śladach zostawionych na śniegu, znajduje się jedno przez dużego niedźwiedzia zajęte. Zapewniał przytem, że dostać się do nich będzie łatwo, gdyż nie więcej od 5 kilometrów są one od stacji kolejowej oddalone.

Choć z pewnem niedowierzaniem słuchałem tak pożądanych dla mnie wiadomości, a udzielonych mi przez pomienionego mieszkańca „Tajgi", którym był Bazyli Litwinow, to jednak wielce byłem uradowany, że po świętach Bożego Narodzenia, które tu na Syberji przez kilka dni nader uroczyście są obchodzone, będę miał pewną rozmaitość, która przerwie monotonny, prawie dziesięcioletni spokojny mój pobyt w ulubionej „Tajdze".

Nie zwlekając ani chwili, zawarłem umowę, zaproponowaną mi przez Litwinowa na następujących warunkach, a mianowicie: jeżeli znajdziemy niedźwiedzia w legowisku, jak on zapewnia, to płacę jemu po zabiciu wagę całego, licząc po 6 rb. za pud, jeżeli chybię, że ucieknie 50 rb., w razie zaś, gdyby misia nie było we wskazanych miejscach, to Litwinow obowiązuje się 25 rb. mnie zapłacić tytułem zwrotu kosztów podróży i straconych korzyści.

Chętnie przystałem na powyższe warunki, mając prócz siebie, również na względzie i mego przyjaciela, wiedząc, że sprawię jemu tem przyjemność, gdyż jako widz będzie mógł asystować podjętej wyprawie.

Osiadły w Tomsku p. Aleksander Lialin, zawołany syberyjski myśliwy, którego tresura psów słynna była naokół, na moją prośbę chętnie dał mi do rozporządzenia trzech ze swojej psiarni, zwanych pospolicie na Syberji „łajkami", przyrzekając jednocześnie swoje uczestnictwo w naszem polowaniu.

O tak szczęśliwej okazji zawiadomiłem przez telefon mojego przyjaciela. Podług umowy spotkaliśmy się wszyscy 4 stycznia o godzinie 3 rano na stacji Tomsk I, zkąd po wypiciu herbaty wsiedliśmy w oczekujący na stacji pociąg, który nas unosił prawie w trzygodzinnej jeżdzie w południowym kierunku do miasteczka Taigi, oddalonego o 80 wiorst od Tomska, a położonego na wielkiej syberyjskiej drodze.

Była 6 rano gdy przybyliśmy do Taigi. Bazyli Litwinow oczekiwał już na nas z kilku silnymi wieśniakami i większą ilością sanek, ze względu jednak na panujący mrok na dworze musieliśmy zatrzymać się z psami na stacji, prowadząc te ostatnie dla bezpieczeństwa na stalowych łańcuchach. Po skonsumowaniu na prędce przygotowanego śniadania i wypiciu dla kurażu po dużej czarce wódki, czekaliśmy w sali I klasy rozświtu na dworze.

Przez ten czas musiał kilkakrotnie zawiadowca stacji, a mój dobry znajomy, łagodzić zatarg, jaki wynikał pomiędzy nami, a przybywającą na stację publiką. Każdą bowiem wchodzącą osobę do sali psy nasze witały zajadłem szczekaniem, powodując tem ogromny hałas, co naturalnie nie mogło się podobać pasażerom, oczekującym na przybycie pociągu.

Dopiero o 8 rano zrobiło się widno. Złożyliśmy prędko broń, opatrzywszy ją na miejscu jeszcze w restauracji stacyjnej. Temperatura bowiem powietrza, która wskazywała 33° R. poniżej zera, nie dodawała nam otuchy do wykonania powyższej roboty bez skórzanych rękawiczek, a co uskutecznić można było tylko wolnemi rękami.

Nareszcie wsiedliśmy po dwóch w oczekujące na nas sanki, zaprzężone w małe koniki narymskiej rasy, która tu w Syberji w ogólnem jest użyciu.

Poranek, jeżeli o tej godzinie tak nazwać go można, był piękny. Powietrze pomimo 33° mrozu lecz bez wiatru, przy ogólnej ciszy nie dawało się nam bardzo we znaki.

Pola pokryte były śniegiem przynajmniej na metr grubo. Droga po której jechaliśmy była tak wązka, że częstokroć z również wązkich sanek wylatywało się ze wszystkiemi manatkami na śnieg, aż w końcu tylko wolno krok za krokiem było można postępować.

Widok „Tajgi“ w tej ciszy zimowej pozostanie na zawsze niezatartem wrażeniem w mej pamięci.

Proszę sobie wyobrazić stare olbrzymie drzewa majestatycznych płaczących brzóz pomieszane z cedrami syberyjskiemi, podszyte jodłami i świerczyną, częściowo śniegiem na arszyn wysoko i przepięknym szronem pokryte, przy ogólnej martwocie, cóż może być nad to wspanialszego?

Oto macie obraz Taigi w całej swej krasie zimowej.

To też przyjaciel mój mógł dopiero teraz dokładnie zrozumieć znaczenie wyrażenia „Matuszka Tajga“ nadawane jej przez okolicznych mieszkańców.

Po 4 lub 5 wiorstach zakończyła się droga, po której jechaliśmy. Litwinow próbował utorować nam naprzód drogę w głębokim śniegu, lecz pomimo razów zadawanych koniom i zachęcania ich na wszystkie możliwe sposoby, nie mógł nic z niemi poradzić i dopiero na skutek mojej energicznej interwencji zaprzestał męczenia zwierząt.

Sanie stanęły, nie pozostawało nic innego, jak brnąć po śniegu — przeto na nasze filcowe, poza kolana sięgające buty włożyliśmy tak zwane śniegówki; — są to szerokie skórzane buty specjalnie w Taidze używane.

Konie pozostały z sankami w pośrodku śniegu bez dozoru, gdzie mogły stać tam spokojnie całe godziny. O powrót nie bylo obawy z tej prostej przyczyny, że w tak głębokim śniegu konie bez ludzkiej pomocy w żaden sposób nie mogą sanek zawrócić. Na moje zapytanie: jak daleko jeszcze do niedźwiedziego legowiska, odpowiedział Litwinow z zimną krwią: 100 sążni, mój panie, znając jednak dobrze obliczanie odległości przez chłopów syberyjskich, mogłem śmiało rachować, że przynajmniej parę wiorst drogi będziemy brnęli po śniegu.

Postanowiliśmy odpocząć cokolwiek. Naprędce przyrządzono małą przekąskę, po której spożyciu zamieniliśmy ciężkie kożuchy „dacha“ (na obie strony podbite futrem) na krótsze i lżejsze, a po opatrzeniu jeszcze raz strzelb — ruszono gęsiego. Pochód otwierał Litwinow, następnie szedłem ja i inni, na samym zaś końcu postępował mój przyjaciel ze swoim aparatem fotograficznym. Im dalej posuwaliśmy się, tem psy coraz więcej były niespokojne, że z wielkim trudem można je było utrzymać na łańcuchach.



Autor artykułu z ubitym przez niego niedźwiedziem.

Po przejściu przynajmniej trzykrotnej przestrzeni podanej poprzednio przez Litwinowa—zapytałem się go w końcu, jak prędko będziemy u kresu naszej podróży. Tak, za chwilę, odrzekł

Wytężyłem wzrok i oglądając się na wszystkie strony, pierwszą rzeczą, którą zauważyłem, było wielkie stado cietrzewi, które znajdując się od nas na 30—40 kroków, podniosły się do powolnego wzlotu ze swego spokojnego miejsca, aby na wierzchołkach brzóz i osin wygodnie się znów rozlokować. „Dobry znak“ powiedziałem, bo przypomniałem sobie, że w poprzedniem polowaniu na krótko przed wyszukaniem legowiska widziałem podobny lot cietrzewi. Pomimo jednak mego poszukiwania, nie mogłem sam natrafić na ślad legowiska. Wysforowałem więc w tym celu naj-

starszego psa, pobiegł on prosto na miejsce, które dopiero zauważyłem pomiędzy dwoma nizkiemi krzakami.

Pies na chwilę znikł, ale wrócił z powrotem ku naszemu zdziwieniu, po kilkunastu jednak sekundach, węsząc nosem w powietrzu, pobiegł w to samo miejsce, ani razu atoli nie szczeknąwszy. Zrozumiałem, że legowisko było opróżnione i zobaczyłem mego przyjaciela Ljalina zmieszanego, który natychmiast rozkazał chłopom dwa pozostałe psy wysforować. Rozbiegły się one we wszystkie strony, starannie poszukując śladu, choć głęboki śnieg wielce utrudniał im zabiegi. Tymczasem zdawało się nam, że stary „Miszka" postępując powolnym krokiem musiał natrafić na zaśnieżony ślad. Domysł nasz nie był płonny.

O jakie może 50 kroków od poprzedniego próżnego legowiska usłyszeliśmy ochrypłe jego szczekanie, na odgłos którego przybiegli do niego obydwaj towarzysze. Lżej odetchnąłem, bo wiem dobrze, że w lesie pies napróżno nie będzie ujadał.

Spiesznym krokiem udaliśmy się z odwiedzionemi kurkami do psów i zobaczyliśmy ku naszej wielkiej radosci, że dwa młodsze znajdują się już w legowisku, podczas gdy „Miszka", mistrz w swoim fachu, starał się z wierzchu grubą warstwę śniegu nad legowiskiem przekopać. Młode psy przyłożyły się zajadle szczekając, a śnieg nad legowiskiem wciąż ubywał pod niestrudzoną pracą Miszki. Oczekiwałem, że lada chwila Ursus arctus bez zwłoki ze swego posłania się podniesie. Zamiast tego—usłyszałem tylko przeciągłe mruczenie, co wskazywało, że będziemy mieli z bardzo starym jegomością do czynienia. Czekałem z bijącem sercem przynajmniej z 10 minut przygotowany do strzału w oddaleniu najwyżej 5 kroków od legowiska — kosmaty towarzysz nie myślał wcale ruszyć się z miejsca, co zniewoliło mnie w końcu do zastosowania więcej energicznego środka. W tym celu kazałem jednemu z asystujących nam chłopów ściąć prędko jodłę mającą około 4 metrów wysokości, oczyścić z bocznych gałęzi i samym drągiem przez otwór zrobiony w śniegu przez łaskotanie energicznie pobudzić do wstania. Podczas tej czynności psy, znajdujące się w legowisku, coraz zwarciej się przysuwały.

I ten jednak środek chybił. Postanowiłem przeto niedźwiedzia poruszyć może za bardzo ryzykownym sposobem, za pomocą strzału. Postąpiłem jeszcze krok czy dwa bliżej legowiska i ujrzałem przez otwór zrobiony w śniegu obraz, który na całe życie zostanie niezatartem dla mnie wspomnieniem: walkę psów z olbrzymem tajgi. Dzielne psy nacierały na misia z taką odwagą, którejbym nigdy nie dał wiary nie będąc naocznym świadkiem. Leżały one prawie z niedźwiedziem nos przy nosie, który łapami ustawicznie po nich uderzał i wrzekomo nie bez skutku, jak tego dowodziły czerwone plamy widoczne na śniegu. Interesująca walka nie ustawała ani na chwilę — psy to nacierały na niego, to sie cofały, stosownie do ruchów misia. Przynajmniej z 5 lub 6 razy zbliżałem się do otworu z wycelowaną bronią, lecz za każdym razem opuszczałem ją z obawy, ażeby przez nieostrożny strzał nie pozbawić życia jednego z tych dzielnych psów.

Nadarzyła się jednak wkrótce decydująca chwila, w której mogłem, bez obawy o psów, użyć broni. Zmierzyłem i z prawej lufy dałem ognia. Okropny ryk i struga juchy, która płynęła z nosa niedźwiedzia, była dla mnie dostateczną rękojmią, że strzał był celny. Po wystrzale atoli psów powtórzyły się ze zdwojoną siłą i zajadłością — ich łby wyglądały jakby w jusze były kąpane — podczas gdy niedźwiedź coraz większy czynił wysiłek, aby się podnieść. Próżne jednak były jego zabiegi—raz, że był już bardzo osłabiony utratą krwi, a powtóre psy mu nie pozwalały wykonać jego zamiaru. Po dziesięciu znów minutach postanowiłem ostatecznie rozprawić się z niedźwiedziem, któremu posłałem kulę z mojej strzelby „Explora", jaka królowi syberyjskich lasów strzaskała zupełnie czaszkę.

Upłynęło sporo jednak czasu zanim odciągnęliśmy odważnych czworonożnych pomocników od ich ofiary i mogliśmy tę ostatnią na wierzch wydostać — przytem zrobiliśmy nieprzyjemne odkrycie, że Michał Iwanowicz, jak chłopi tam nazywają niedźwiedzia, srodze nasze psy poturbował. U dwóch młodszych, które z nim prowadziły walkę w legowisku — skóra pod szczękami wisiała postrzępiona w kawałkach wielkości talara, podczas gdy Miszka, jak zwykle, z całej tej afery wyszedł zupełnie cało. Niedźwiedź na śniegu tworzył ciężką czarną bryłę, broczącą we krwi.

Pozostawało nam teraz sprowadzenie sanek na miejsce, gdzie leżał niedźwiedź, co z wielkim wysiłkiem ze względu na głęboki śnieg było uskutecznione.

Przy pomocy chłopów olbrzyma tajgi, gdyż za takiego można go uważać, po ulokowaniu na saniach, przywiązaliśmy. Tymczasem przyjaciel mój wykonał kilka zdjęć fotograficznych — ja zaś nie ociągałem się, aby za tak pomyślne zakończenie wyprawy naszej, nie napić się na miejscu z p. Ljalinem z manierki czarki wódki i zakąsić przy 30° mrozu wędzoną słoniną z kawałkiem razowego chleba.

Wkrótce potem powróciliśmy do miejsca, gdzie pozostawione konie z sankami na nas oczekiwały. Litwinow ze swojemi sankami i przywiązanym niedźwiedziem zaledwie bardzo wolno mógł za nami postępować.

W lekkich „kaszowkach", jak nazywają na Syberji myśliwskie sanki, powracaliśmy na stację z pośpiechem, wyrównywającym jeździe syberyjskiego osobowego pociągu, gdzie już na nas oczekiwał przyzwoity obiad, zamówiony przezemnie. Po upływie pół godziny nadciągnął także woźnica z niedźwiedziem, którego wpakowaliśmy na bagaż pasażerskiego pociągu do Tomska. Przy ładowaniu do wagonu mieliśmy sporo widzów z oczekują-

cych pasażerów, zdumionych olbrzymem, którego waga wynosiła 585 funtów. Po załatwieniu wszystkich formalności na kolei, zapłaciłem gotówką przypadające podług obliczenia Litwinowi 88 rb., które ten ostatni śmiejąc się zgarnął do kieszeni, wiedząc zapewne, że taką sumę ręczną pracą zaledwie przez kilka miesięcy byłby w możności zarobić. Długość niedźwiedzia, jak węgiel czarnego, po zdjęciu z niego grubej skóry od nosa aż do ogona wynosiła 272 ctm. Sadła miał na sobie 120 funtów. Pieczeń z niego była smaczna i soczysta, pomimo, że ten olbrzym zapewne co najmniej siedem lub osiem wiosen przeżył na świecie.

Wyprawa nasza powiodła się zupełnie ku ogólnemu wszystkich zadowoleniu, przyjaciel mój był zachwycony myśliwską wycieczką, ja skorzystałem ładną skórę do przyozdobienia swojego gabinetu, której posiadanie w głównej mierze zawdzięczać mogę sprawności psów, bez których wielu zawodowych myśliwych, co swój byt opierają tylko na strzelbie, nie byłoby w możności istnieć.

Orz.

Popularyzacja nauki leśnictwa

przez W. Olszowskiego.

(Dalszy ciąg)

Miąższość takich kloców obliczają tak producenci, jakoteż i kupcy leśni krajowi i zagraniczni oraz bezpośrednio nabywający w lesie konsumenci, nie inaczej, tylko z wymierzenia długości i średnicy w środku długości kloców, według tablic objętości walców. A metoda ta chyba jeszcze przez wiele dziesiątków lat stosowana będzie, jako najprostsza i najbliższa rzeczywistości. Wyszukiwanie więc nowych metod obliczania masy drzewnej, jakoby dokładniejszych, przez profesorów, lasomistrzów i różnych uczonych, jest bezcelowe. Wszelkie liczby kształtu, formquotienty i t p. czysto teoretyczne pomysły żadnego zastosowania praktycznego odnośnie do kloców powyżej opisanych pierwszej i drugiej kategorji nie mają i mieć nigdy nie będą. Co do trzeciej kategorji kloców ściętych, to jest niekwalifikujących się na handel zagraniczny, ani na budowle lub materjał rżnięty, a tylko zdatnych na opał, czy byłoby logicznem wyszukiwać nowe dokładniejsze metody oszacowania miąższości, aniżeli te, które stosujemy do drzewa materjalnego, kilka razy droższego? Sądzę, że na takie pytanie odpowiedź może być tylko jedna, że koncepcja dokładniejszej teoretycznej metody nie miałaby logicznego uzasadnienia i byłaby nawet śmieszną.

Wezmę teraz pod rozbiór metody obliczania miąższości drzew stojących. Najpowszechniej i do tej pory jeszcze używaną metodą jest szacowanie wymiarów drzew, mianowicie wysokości do punktu odcięcia wierzchołka i średnicy w środku tej wysokości, na oko; a obliczanie miąższości według tablic objętości walców. Metoda to bardzo prosta i łatwa, ale wymaga dużej wprawy, dla nabycia której nie potrzeba żadnych studjów teoretycznych. Wprawę w określeniu średnicy można nabyć bardzo prędko, określenie zaś wysokości na oko jest trudniejsze, zwłaszcza u drzew bardzo wysokich, gdyż wysokość ta przedstawia się oczom różnie w zależności od odległości, na której stoimy odnośnie do danego drzewa, i od tego, czy stoimy na jednym poziomie z wymierzaniem drzewa lub niżej albo wyżej. Wprawdzie wysokomiar Faustmana tę trudność usuwa, ale tylko co do pojedynczych drzew, gdy jednak mamy do oszacowania tysiące sztuk, tam użycie jego nie jest możebne ze względu na czas potrzebny do takiej powolnej czynności.

Ponieważ określenie wymiarów drzew na oko dokładne być nie może, przeto uczeni niemieccy, począwszy od Keniga w początku zeszłego wieku, pracowali nad ułożeniem tablic redukcji albo wysokości drzew albo średnicy dolnej na wysokości piersi na średnicę środkową.

Za najlepszą, wysoce uczoną pod tym względem pracę, uznawano przez długie lata tablice miąższości stojącego drzewa, nazywane bawarskiemi, jako ułożone przez gremium uczonych i profesorów bawarskich. Jeszcze w roku zeszłym nasi uczeni leśnicy, redaktorzy Leśnika Polskiego, w polemicznym zapędzie nazwali te tablice klasycznemi.

Ile jest niekokładności i nielogiczności

w układzie tych tablic, a błędów rachunkowych w liczbach redukcyjnych tych niby klasycznych tablic, wykazałem jasno w świeżo wydanej przezemnie książeczce p. t. „Tablice miąższości drzew stojących i teorja ich układu" (Skład u Gebethnera i w Centralnem, oraz Polskiem Biurach Leśnych). Wykazałem też, że tak tablice bawarskie, jak i wszelkie inne koncepcje uczonych niemieckich, pod nazwą liczb kształtu i formquotientów są mające pozór wysokiej uczoności, redukcją mas drzewnych, wyliczanych według tablic objętości walców ze średnicy dolnej na masę rzeczywistą, która to redukcja może być arytmetycznie bez znajomości wyższej matematyki, przeprowadzona, równie dokładnie przez każdego leśnika ze średniem tylko wykształceniem.

nicy wymierzonej w środku długości sekcji, następnie obliczyć miąższość wszystkich sekcji według tablic objętości walców, a suma wszystkich sekcji każdego drzewa wykaże nam jego miąższość. Teorja ta jest racjonalna i najzupełniej odpowiadająca rzeczywistości. Ale praktyka stoi na innem stanowisku i stosuje metody obliczania miąższości popularne, to jest uproszczone, łatwe do wykonania i zrozumiałe dla osób średnio, lub tylko elementarnie wykształconych. Cały handel nie tylko nasz, ale i wszechświatowy i wszelki wyrób materjałów drzewnych polega jedynie na tych prostych metodach obliczania mas drzewnych, łatwych do stosowania, zrozumienia i kontrolowania, pozostawiając metody ściśle naukowe jako zabawkę dla uczonych,



Marale w Zwierzyńcu Pilawińskim hr. Józefą Potockiego.

Nie chcę powtarzać obszernie wyłożonych motywów i dowodów krytycznej oceny niemieckich tablic miąższości drzewa, odsyłam czytelników do wymienionego wyżej mego wydawnictwa. Tu tylko nadmienię, że tablice moje podałem jako wzór, według którego każdy średnio wykształcony leśnik będzie mógł ułożyć sobie podobne tablice dla drzewostanów tego lasu, którym sam zarządza, a zatem dokładniejsze od wszelkich niemieckich i nawet dla danego lasu od moich, bo opartych na własnych, ścisłych wymierzaniach drzew po ich ścięciu. Dodam jeszcze jedno objaśnienie, które w mojej teorji układu tablic przepuściłem, a które znacznie uprości układ przez leśniczych własnych tablic, na każdy oddzielny rewir lasów.

Teorja nauki o szacowaniu lasu wskazuje, że chcąc dokładnie obliczyć miąższość danych drzew, potrzeba po ich ścięciu każde drzewo podzielić na sekcje dziesięciostopowe i każdą taką sekcję uważać za walec o śred-

doktorów i profesorów. I zupełnie słusznie bo pomiędzy ściśle naukowem a praktycznem obliczeniem miąższości drzewa, różnica wynosi bardzo niewielki procent, nie przenoszący 1⁰/₀, a przytem ta różnica po wyróbce drzewa, czy to na materjał tarty, czy kantowy, wykazuje się zewnątrz kloca w zrzynach (opołach v obladrach) lub w wiórach, to jest w materjale bardzo małej wartości.

Metod naukowych obliczenia mas drzewnych świat handlowy nie uznaje obecnie i nie przyjmie ich w przyszłości, bo nie mając w swojej korporacji osób z akademickiem wykształceniem, metod tych nie rozumie, skontrolować ich ścisłości nie może, a zatem im nie dowierza, a stosowanie ich do oszacowań większych partji drzewnych tak jest zawiłe i wymaga tylu działań rachunkowych, że narażałoby na poważny koszt zapłaty za prowadzenie tych działań. Zresztą zkąd się może wytworzyć w handlujących i producentach drzewa jednostajność metod obliczania miąż-

szości, jeśli sami uczeni lasomistrze i profesorowie są między sobą niezgodni i podają rozmaite formuły obliczania mas drzewnych, dające różne rezultaty, a przytem podają tylko ogólne cyfry mas, strzał drzewnych bez ich rozgatunkowania, kiedy to ostatnie jest rzeczą główną, bo ono jedynie stanowi o pieniężnej wartości każdej oddzielnej sztuki drzewa.

Biorąc na uwagę wyżej przytoczone wyjaśnienia, stawiam co do skladu tablic miąższości drzew stojących oddzielnych dla każdego rewiru leśnego wnioski następujące: Ponieważ drzewo spławiane zagranicę i wyrabiane u nas na tartakach lub w lesie, przeważnie wyrzyna się ze strzał w klocach nie krótszych od 18 stóp polskich (17 reńskich), i w ogólnym handlu tak krajowym, jak i zagranicznym, miąższość takich kloców oblicza się według tablic objętości walców, przyjmując każdy kloc jako walec o średnicy wymierzonej w połowie jego długości, przeto metoda ta powinna być zastosowana także do układu tablic miąższości drzew stojących, a nie metoda naukowa dzielenia na sekcje krótkie 10 stopowe, jako z praktyką handlową niezgodna. Sciślejsze dochodzenie różnicy w konieczności i cały profesorski wysiłek umysłowy na jej wynalezienie jest bezcelowy, bo za tę różnicę nikt nie zapłaci, a zatem słusznie można go nazwać naukowym sportem.

Prawda, że przy wyróbce drzewa część kloców ma długość mniejszą od 18 stóp, ale to są albo kloce wierzchołkowe, które musiały być ucięte krócej z powodu braku miary w średnicy cienkiego końca, czy też krzywizny i sękatości wierzchołka, albo kloce odziemkowe i środkowe, wyrznięte z krzywych i łamanych strzał. Przy wymierzaniu więc takich próbnych sztuk po ścięciu, należy także odstąpić od ogólnej normy kloców 18 stopowych, a zastosować wymierzanie do naturalnych krzywizn i łamań strzał drzewnych.

Jeżeli weźmiemy pod rozbiór i porównanie teorji naukowej o czystym dochodzie z lasu, z praktycznem obliczeniem takiego dochodu, wtedy dojdziemy do szczególnie dziwnych wniosków.

Teorja popularna, czyli z praktyki wzięta, nazywa czystym dochodem rentę, jaka daje corocznie wartość lasu, składająca się z gruntu i zapasów drzewnych na nim rosnących. Renta zaś roczna oblicza się przez potrącenie z dochodów wydatków na ochronę, administrację, kultury i t. p.

Ponieważ wartość lasu w gospodarstwie ściśle trwałem nie może być rozdzielona na swoje części składowe, to jest oddzielne dwie wartości, gruntu i drzewostanów, gdyż drzewostany są niezerwalnie związane z gruntem, z niego tylko czerpią swoje zapasy, i z nim razem dają wspólny dochód, przeto pieniężna wartość lasu może być obliczona jedynie przez skapitalizowanie rocznej renty, według procentu prostego, o takiej stopie, jaka w danych warunkach ekonomicznych kraju jest powszechnie przyjęta dla majątków ziemskich.

Takie a nie inne robi sobie obliczenie każdy kupujący majątek ziemski z lasem, albo sam majątek leśny. Do obliczenia takiego może być wniesiona w pewnych warunkach tylko jedna poprawka. A mianowicie, jeśli w danym lesie są jakie zapasowe cięcia albo nasienniki w cięciach lat poprzednich jeszcze nie sprzedane, albo też w drzewostanach na następne okresy przeznaczonych według planu są pojedyńczo rozrzucone starodrzewy, które mogą i powinny być wzięte na sprzedaż bez ubytku zapasu drzewostanów, wśród których stoją, w takim razie te zapasowe partje drzewa, nie sprzedane w czasie właściwym, do kapitalnej wartości lasu doliczyć należy. Jeśli zaś cięcia z lat następnych zostały wcześniej wycięte, jak to nieraz się zdarza, gdyż Komitety leśne pozwalają wycinać pięć cięć kolejnych odrazu, a w niektórych wypadkach i dziesięć, wtedy wartość tych przed czasem wyciętych cięć wraz ze straconym procentem, należy z kapitalnej wartości lasu potrącić.

Tymczasem z tak prostej, jasnej i zrozumiałej tak dla każdego właściciela lasu, jakoteż w razie przejścia własności do innej osoby, dla obu stron traktujących o kupno i sprzedaż, metody oszacowania czystego dochodu, niemieccy uczeni utworzyli setki metod wysoce naukowych, bo opartych na mnóstwie formuł algebraicznych, z których na próbę przytaczam jednę

$$(B + V)\,\frac{1.0\,p\,u - 1}{oop} - u\,(B + V) + u\,B = \frac{A\,u - u\,v}{oop},$$

a z szeregu których, raczej chaosu liter, liczb, plusów i minusów, wyłania się rezultat rachunkowy = minus K, czyli wartość gruntu negatywna!!! Setka uczonych wysila swoje mózgi nad coraz to zawilszemi formułami obliczania czystego dochodu i gdy jedna partja dochodzi do wyników minusowych wartości gruntu, druga wyszukuje w ich metodach błędów, a sama wpada w nowe błędy. Walka o prawidłowość metod i wyrachowań prowadzi się między uczonymi niemieckimi już od lat kilkudziesięciu, a jeszcze zagadnienie o czystym dochodzie rozwiązane stanowczo nie jest, raczej naukowo nie jest, bo praktyka już je dawno i stanowczo rozwiązała.

(Dokończenie nastąpi).

O MARALU.

Maral — to zwierzę w krainie Altajskiej budzące litość ogólną.

Chciwość ludzka, chęć zdobycia jaknajłatwiejszym sposobem pieniędzy, odbijają się na skórze tego szlachetnego stworzenia, albo też poddawany bywa najcięższym torturom. Jeżeli maral w Syberji Wschodniej stał się stosunkowo rzadkiem zwierzęciem, żyjącem na wolności, to nawet temu nie można się dziwić, gdy się zważy, że polowanie na tego jelenia dozwolone było przez jenerał-gubernatora irkuckiego od 15-go maja do 1-go lipca, to jest właśnie w okresie czasu, w którym odbywa się bekowanie. Stan ten trwał do r. 1911-go włącznie, teraz — 1912 —ma być inaczej, dokładnych szczegółów jednak nie mamy jeszcze o tem. W górach Altajskich maral zażywa pełnej opieki, tam też za zabicie tego jelenia naznaczona jest wysoka kara, wynosząca 100 rubli od sztuki, mieszkańcy tamtejsi i na to umieli sobie jednak poradzić, a ponieważ prawo wyraźnie orzeka, iż karane jest *zabicie*, przeto łapią marale żywe, tego im bowiem nikt nie zabrania.

W jaki sposób odbywa się to chwytanie żywych jeleni opowiemy tutaj pokrótce:

Z chwilą, gdy tatarzy i kałmucy odkryli zimą ślady ścieżek, któremi maral zwykł chadzać, odrazu tworzy się cała banda napastników, którzy zaopatrzywszy nogi swoje w łyżwy saneczkowe, z podziwu godną zawziętością i wytrwałością gnają tak długo za jeleniem, aż ten wreszcie po dwóch lub trzech dniach zupełnie wyczerpany utykaniem w głębokim śniegu, dochodzącym często do 2,5 m., pada na ziemię, jeżeli nie uda mu się szczęśliwie dopaść do stromych gór, gdzie już czuje się zupełnie bezpiecznym. A rezultat tego bywa taki: w pierwszym wypadku związuje się powrozami szlachetne zwierzę, poczem ciągnie je się po śniegu do domu, gdzie w oddzielnem ogrodzeniu skazany bywa maral na dożywotne katusze.

W drugim wypadku bywa nie lepiej i maral albo pada ofiarą wilków, przez któremi uciec nie jest już zdolny, albo wskutek gwałtownej ucieczki wpada w zapalenie płuc i następnie w suchoty, albo wreszcie ginie z głodu, nie mając siły wygrzebać sobie z pod śniegu pożywienia.



Rycina I: Maral obłaskawiony.

Zamieszkały w Kabesach w okręgu Altajskim niemiec Schaefer przytacza w jednem z pism fachowych następujący wypadek:

„Zimy ubiegłej, o kilka wiorst od mojego domu, po trzydniowej bezustannej gonitwie schwycili kałmucy trzy bardzo piękne okazy marali. Zaproponowano mi nabycie bardzo ładnego młodego jelenia za 30 rubli, ponieważ jednak nie miałem odpowiedniego miejsca, ażeby go do lata przetrzymać, odmówiłem kupna, choć wiedziałem, że gdyby go nawet teraz kałmucy puścili na wolność, to byłby to dla niego wyrok śmierci".

Wogóle to, co opowiada Schaefer o stosunkach w górach Altajskich, zasługuje z wielu względów na uwagę i dlatego przytaczamy w dalszym ciągu jego opis.

„O siedem do ośmiu wiorst od mojej

siedziby znajduje się mały zwierzyniec „Ust'-pujsza", w którym przebywają marale. W zimie zabrano stąd dwie sztuki, a mianowicie młodego trzylatka (cena 85 rubli) i również młodą, ale już rozpłodową łanię (cena 40 rb.).

Biedne te zwierzęta pędzono o 150—180 wiorst do innego zwierzyńca. Litość budziły te dumne zazwyczaj stworzenia, gdy ze związanemi łyżkami, z obwiązaną głową i wystraszonemi świecami, w rozpaczliwych podskokach toczyły się przez naszą wieś".

W jaki sposób odbywa się hodowla i utrzymywanie zagród z maralami, o tem można by pisać bardzo dużo, faktem jednak jest, że tylko w wyjątkowych wypadkach właściciele takich zwierzyńców dbają o dobrą paszę, o lizawki i stajenki, chroniące przed wilgocią. Zazwyczaj jest to duży dziedziniec z pierwotnemi stajniami i z wejściem na mniejsze podwórze do zdejmowania rogów. W wielu miejscach niema nawet takiego drugiego podwórza, a natomiast rozmaite bywają narzędzia tortur, którym poddawane są marale.

Jak to widać na rysunku naszym (Nr 1) niektóre marale dają się zupełnie obłaskawić, pomimo nadzwyczaj bolesnej operacji, której poddawane są corocznie.

Jeżeli takiego łagodnego jelenia ujrzymy, to możemy być zawsze pewni, że pochodzi on z generacji, która dawno już nie miała swobody, która zrodziła się w niewoli i ogrodzenie uważa za swoją ojczyznę.

Drugi nasz obrazek przedstawia hodowlę marali we wsi Ujmon Górny, należy zaś ona do zwyczajnego chłopa Czernowa. Ponieważ rogi marala przedstawiają poważną wartość, przeto właściciel tego zakładu wielką wagę przywiązuje do tego, azeby rogi dobrze były uformowane. Za jedne rogi, o pewnej z góry oznaczonej wadze, płaci się znacznie więcej, aniżeli za dwie pary, ważące wspólnie nawet więcej. Ceny bywają rozmaite, od 7 rb. za funt do 12 i 13 rb., w stanie surowym, t. j. za świeżo zdjęte rogi. Przeciętna cena na zachodzie Bajkału wynosiła w r. 1911-ym około 10—12 rb. Tyle płacono na wsi, w mieście jednak zapewne ceny były wyższe.

Stosunkowo wiele rogów dostarczają Tunguzi z Syberji wschodniej, rogi zaś te pochodzą od maralów, żyjących na wolności. Jeden ze strzelców, który razem z Schaeferem polował i sypiał, ubił w ciągu 1911 r. 26 sztuk.

Chwytanie jeleni tylko dlatego, ażeby im odpiłować rogi, odbywa się w warunkach wysoce oryginalnych, jest to zaś akt takiej brutalności ludzkiej i takiego okrucieństwa, o których w świecie cywilizowanym nie można nawet mieć pojęcia. Ciemno jeszcze na świecie i daleko jeszcze do świtu, gdy już ludzie okrutni przystępują do tej roboty. Przedewszystkiem chodzi o to, ażeby niepostrzeżenie, bez zaniepokojenia zwierząt, oddzielić młode od matek i pojedynczo, rzędem wepchnąć do ganku utworzonego z desek i coraz węższego, gdzie łatwo już nad niemi zapanować. Bez najmniejszego szmeru pracuje tutaj cały zastęp ludzi, gdy zaś powiodło się już jelenia zapędzić w wązkie przejście, wtedy 20-tu do 30-tu umyślnie na tę chwilę czekających robotników rzuca się na biednego marala i przyciska go do ziemi. Często odbywają się tu krwawe walki, niejeden bowiem jeleń zmiarkowawszy, że znajduje się w pułapce, staje się podejrzliwy i usiłuje rozpaczliwie wyłamać się na wolność. Napróżno jednak! deski są za wysokie, a zły człowiek przygotował wszystko, ażeby cię zgnębić, biedny maralu.

Często zdarza się, że gdy już związano jelenia, rogi jego są utrącone i połamane, a z wnętrza wydobywa się pot w delikatnych strugach.

Umęczone straszliwie zwierzę rozkłada się teraz na ławie, która w całem tego słowa znaczeniu przypomina średniowieczne narzędzie tortur. Już nietylko myśliwy, ale każdy człowiek, mający bodaj odrobinę serca, wzdry-



Rys. 2. **Zakład hodowania marali we wsi Ujmon Górny, na południu Altai.**

gnąć się musi na ten widok (Rys. Nr 3). Następuje odpiłowywanie rogów piłą ręczną, wcale nierzadko zardzewiałą i tępą. Pot wypływa już teraz fontannami na wysokość metra z głowy jelenia. Ukończywszy tę czynność, na odpiłowane rany, z których ciągle wycieka pot, nakłada się glinę, albo gliniastą ziemię, albo wreszcie zwyczajną czarną ziemię, poczem zoperowane zwierzę wypuszcza się na dziedziniec.

Jak wściekły biega teraz jeleń na wszystkie strony, a całe jego zachowanie świadczy o straszliwych cierpieniach, które będzie musiał znosić, zanim nareszcie rany jako tako się zagoją. O to jednak ci ludzie się nie pytają. Co ich obchodzą cierpienia biednego marala?

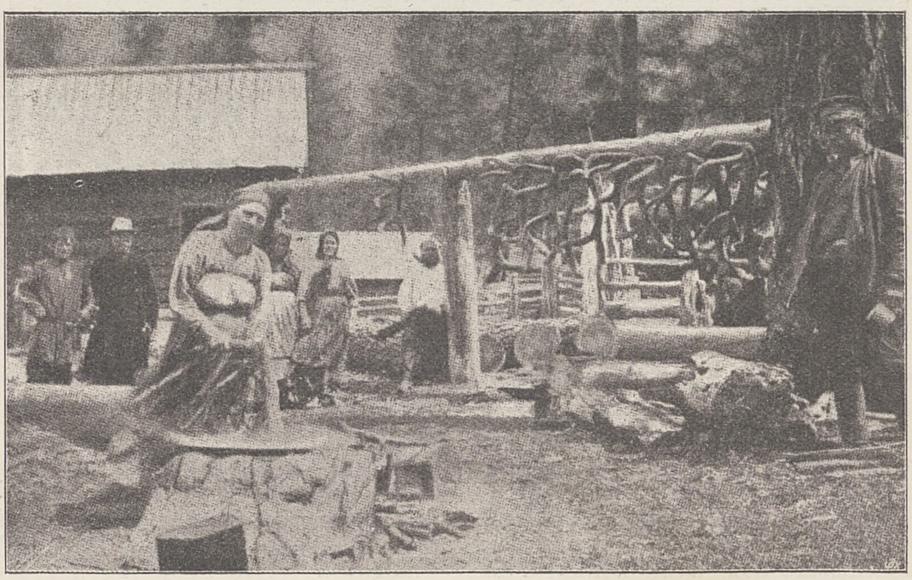


Ryc. 3. **Odpiłowanie rogów u marala.**

Przecież drugi już jeleń leży na ławie, więc trzeba go zoperować. I czynią to ci ludzie bez serca obojętnie, zimno...

Uzyskane w ten sposób rogi płuczą się w roztworze soli i herbaty cegiełkowej (prasowanej), poczem zagotowuje się je w tym roztworze, a następnie wystawia na przewiew wiatru w miejscu zacienionem, gdzie muszą obeschnąć (Rys. Nr 4). Po wyschnięciu wysyła się rogi do Chin i Mongolji

Zdawałoby się, że teraz, gdy w całym świecie objawia się ruch, zmierzający do opieki nad wszystkiem, co wytwarza natura, byłby już czas najwyższy pomyśleć o stworzeniu praw, któreby uniemożliwiły tego rodzaju rzemiosło, niegodne ludzi kulturalnych. Nawet zwyczajny oprawca nie może się dziś znęcać nad żadnem stworzeniem, jakże więc pozwalać na tego rodzaju katowania! Jedynem usprawiedliwieniem dla tych ludzi może być to, że wyobrażają oni sobie, iż jeleń przy takiej operacji nie doznaje żadnego bólu.



Ryc. 4. **Gotowanie i suszenie rogów.**

Miejmy nadzieję, że stosunki takie muszą raz nareszcie ustać, nie dlatego, ażeby na Syberji wzrosnąć miała oświata, ale dlatego, że prawo karać będzie surowo tego rodzaju przestępstwa.

Wykształcenie fachowe.

Trzy artykuły w tej kwestji pomieszczone w №№ 10, 14 i 18 a rozpatrywane z rozmaitych punktów widzenia autorów, przypominały mi gorącą polemikę w tej kwestji prowadzoną w roku 1906 na gościnnie otwartych łamach Dziennika Kijowskiego.

Jak wtenczas, tak i obecnie ciemny horyzont życia pracowników rolnych (mam na myśli tak agronomów, jak i leśników) niczem się nie rozjaśnił, jak wtenczas, tak i dziś odzywają się głosy: „że większą wartość daje pracownikowi nie dyplom posiadany przezeń, ale umiejętne zastosowanie w praktyce nabytej wiedzy“; zapominają jednak, że nabyć wiedzę fachową w całym zakresie danego fachu można wtenczas, gdy się otrzyma dyplom.

We wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiej gruntowna i specjalna nauka odgrywa główną i decydującą rolę. W przemyśle, w budownictwie, w sztuce i t. d. fachowe teoretyczne wykształcenie jest niezbędne, bo gdy go nie będzie, to nie będzie się stało u szczytu swego zadania. Jest to fakt, o którym dwóch zdań być nie może.

Właściciele większych obszarów od dość dawna zrozumieli tę potrzebę ludzi wykształconych fachowo, przekonali się, że egzystować przy szybkim postępie przemysłu nie mogą, jeśli nie będą odpowiadali zadość zapotrzebowaniom tegoż, zrozumieli, że odwieczna rutyna w gospodarstwie tak rolnem jak i leśnem to klęska... i rozpoczęło się poszukiwanie agronomów i leśników dyplomowanych.

Ludzie znaleźli się i powoli, stopniowo zarządy większych lasów i folwarków przechodzić zaczęły do ludzi z wykształceniem fachowem, rugując z posad dawnych rządców, leśników i ekonomów — rutynistów.

Majątki wielkich posiadaczy, gdzie od dość dawna przeważna część posad zajęta była przez fachowo wykształconych ludzi, swem wzorowem gospodarstwem rolnem, świetną gospodarką leśną, a co za tem idzie i zwiększonemi dochodami, były zachęcającemi przykładami dla posiadaczy mniejszych. Poczęto więc faworyzować dyplomowców, podwyższono wynagrodzenie, traktowano grzecznie, liczono się z nimi, to też młodzież nasza pod wpływem rodziny, warunków miejscowych i zachęcona przez społeczeństwo rzuciła się dość tłumnie do zakładów rolnych.

Zdawało się, że ta dziedzina pracy stojąca odłogiem szeroko rozwarła swe podwoje, by przyjąć zastęp młodych fachowo wykształconych, potrzebujących pracy ludzi.

I oto po szeregu lat wyszedł liczny zastęp młodych ludzi z fachowem wykształceniem leśnem, ludzi, którzy poświęcili swą młodość nauce, zatracili pewien kapitał, by ją zdobyć i wchodzą w życie z obfitym zasobem wiedzy fachowej poszukują odpowiedniego zajęcia i wynagrodzenia. Rozpoczęli oni walkę o chleb i byt w warunkach daleko trudniejszych niż ich poprzednicy, bo muszą zwalczać konkurencję ludzi poszukujących pracy bez wykształcenia fachowego, lecz posiadających już praktykę nabytą przy gospodarstwach wzorowo prowadzonych i zarządzanych przez fachowców.

W walce tej dyplomowani leśnicy wyszli źle pod względem finansowym, bo choć ziemiaństwo i zrozumiało, że egzystować przy dawnym sposobie gospodarstwa nie może, wolą jednak za nizką płacę brać praktyków z większych wzorowo prowadzonych gospodarstw, łudząc się nadzieją, że złemu zaradzą, mając leśniczego lub ekonoma, który dobrze gospodarował pod dyrektywą fachowca; i znowu się powtarza błąd dawny, bo dziś nawet w fabrykach praktycy bez wykształcenia fachowego samodzielnej posady zajmować nie mogą. Dobry majster praktyk będzie dobrym majstrem dopóty — dopóki pracować będzie przy warsztacie sobie znanym, starym, wszelką inowację przyjmie niechętnie i fuszerować będzie; to samo dzieje się w leśnictwie i rolnictwie u nas i zastój w leśnem gospodarstwie, o którym tyle płaczliwych wypisano artykułów, jest właśnie spowodowany rutyną, brakiem pracy ludzi teoretycznie i fachowo wykształconych.

Rutyna w gospodarstwie leśnem ustąpić musi, jak ustąpiła w przemyśle, inaczej bankructwo i nasza gospodarka leśna zawsze iść będzie na szarym końcu postępu i wiedzy.

Niemałą rolę w otrzymywaniu posad, odgrywa protekcja i w tych właśnie wypadkach największe zło stanowi przyjmowanie przez właścicieli na posady już nie praktyków nawet, ale wprost ludzi posiadających silne poparcie, lecz poza tem nic. Tacy nowo kreowani leśniczowie przynoszą wielką szkodę nietylko fachowcom i praktykom w zrozumieniu materjalnem, lecz przedewszystkiem właścicielowi lasu i całemu społeczeństwu. Po całym szeregu błędów, odbijających się na kieszeni właściciela i na obszarze leśnym przez takiego nieuka gospodarowanym, opuszcza on zajmowaną posadę i już z świadectwem odbytej praktyki i zdobytym tytułem leśniczego, staje w szranki z fachowcami w poszukiwaniu służby i zniżając wynagrodzenie do minimum. Czytamy więc ogłoszenia, że poszukują się posady leśniczych o nader skromnych wymaganiach, że

poszukujący posiada świetne świadectwa z odbytej służby w takich a takich majątkach leśnych... niestety jednak wartość takich świadectw po większej części jest bardzo problematyczna.

A zaofiarowanie?... To pod względem wynagrodzenia jest jeszcze skromniejsze przy wielkich nieraz żądaniach.

Względy życiowe pracowników z jednej strony nie pozwalają poświęcać życia swego i rodzin swych, by o suchym, nieraz zaprawionym goryczą życia chlebie, nieśli pochodnię światła i wiedzy w zapadłe kąty, nie pozwalają ziścić się najserdeczniejszym młodocianym marzeniom, pracowania na tej naszej szarej a tak ukochanej ziemi, z drugiej strony pracodawcy z tych lub innych względów nie mogą lub nie chcą zrozumieć potrzeb swych wykształconych pracowników i byt ich materjalny podnieść i zapewnić.

Nic dziwnego, że wobec wzrastających wymagań życiowych, taka nizka płaca nie wystarcza nawet na zaspokojenie najskromniejszych potrzeb człowieka wykształconego i całej jego rodziny, nie mówiąc już o tem, że odłożyć jaki grosz na czarną godzinę życia jest wprost niemożebne, to też fachowcy tak agronomowie, jak i leśnicy rzucają fach swój, szukając pracy na innych polach wiedzy ludzkiej.

Taki anormalny stosunek życiowy obecnej generacji może wytworzyć u młodzieży naszej niechęć do kształcenia się fachowego w rolnictwie i leśnictwie, a brak wówczas fachowców dla kraju naszego byłby klęską niepowetowaną.

Leon Pęski.

Pola dla zwierzyny.

(Ciąg dalszy).



Jeżeli właściciel zbadał dokładnie nieodzowne warunki wszystkich roślin, które mają być hodowane na polach dla zwierzyny przeznaczonych, to będzie również umiał wyszukać dla nich odpowiednie rodzaje gruntu, jakie dla każdej rośliny będą najwłaściwsze, a mając gotowy ich spis, pewne modyfikacje w nich porobić: dodać jedne — ująć drugie, a to względnie do gruntu, jakim w tym celu rozporządza i tak np.: łubin powinien siać na ziemiach bardzo lekkich piaszczystych, gdy przeciwnie pszenicę na tęgiej glinie i t. p.

Przed zakładaniem pól dla zwierzyny, lub też przy wyborze płaszczyzny pod nie, powinniśmy zwrócić główną uwagę na to, jakie mianowicie rośliny uprawiać zamierzamy; nie można bowiem lekkomyślnie powierzać roślin takim gruntom, których części składowe zupełnie nie odpowiadają żądanej hodowli roślin, a liczyć tylko na późniejsze polepszenie ich przez odpowiednią uprawę.

Choć rośliny dziko już z natury rosnące, wskazują często nam dokładnie z jakim gruntem mamy do czynienia, to jednak nie polegając na tych wskazówkach, nietylko możemy, lecz powinniśmy tu i owdzie świdrem lub szpadlem sprawdzić, czy podgrunt w obranem miejscu nie dostarczy nam odpowiedniego materjału, któryby nieszczególną wierzchnią warstwę prędko mógł do pożądanego stanu doprowadzić, bez podjęcia więcej skomplikowanych i kosztownych robót ziemnych, jak np. piasek na tęgą glinę i margiel, dobra glina na piasek i t. d.

Często się bowiem zdarza, że pod nieurodzajną wierzchnią warstwą ziemi znajdujemy podgrunt tak zasobny w pożywne dla roślin materje, że podjęta praca przy wydostaniu jego na wierzch sowicie na długie lata nam się opłaca.

Po ostatecznem zadecydowaniu w wyborze miejsca parcelujemy je na odpowiednią ilość działek proporcjonalnie do liczby roślin, przeznaczonych do uprawy.

Pierwszą i nieodzowną czynnością po podziale jest dokładne zbadanie każdej działki osobno. Bardzo zachwaszczone pola, a szczególnej zarośnięte perzem (Triticum repens) powinny przez rok przeleżeć ugorem — aby tym sposobem mieć możność doprowadzenia ich do pożądanego stanu używalności. Gdyby jednak pomiędzy działkami znalazł się jaki do tego stopnia zachwaszczony pasek gruntu, z którego usunięcie zielska zwykłemi sposobami, bądź to przez odpowiednie oranie i bronowanie, bądź też przez pozostawienie odłogiem, podług zdania właściciela, nie na wiele by się przydało—powinien na tej działce wykonać odpowiednią regulówkę, jaką zwykle stosują w ogrodach.

Przy oraniu pól wybieramy najpierw znajdujące się kamienie, składając je na osobną gromadę, przydadzą się one zawsze w gospodarstwie, po zoraniu bronujemy i wybieramy z całą starannością wszelkie zielsko możliwie ze wszystkiemi korzeniami, gromadząc to wszystko na jedną kupę kompostową.

W naszej bowiem gospodarce nic zmarnowanem być nie może, bo najgorszy nawet, na oko bezużyteczny produkt, zawiera w sobie jeszcze pewien zasób pożywienia dla roślin, przez co staje się nieocenionym materja-

łem do tak pożądanego kompostu, a więc zbierajmy wszelkiego rodzaju odpadki i gromadźmy skrzętnie na tak zwany wał kompostowy.

Wytycznym celem dla właściciela działek jest ten, ażeby pola dla zwierzyny uczynić najlepszemi i najurodzajniejszemi z całej swej posiadłości.

Do uprawy pól powinien używać narzędzi, które do powyższych robót są ogólnie uznane za najlepsze i najwięcej zaoszczędzające sił, czasu i zbytnich wydatków, a więc: pługi, podskibowce, siewniki i t. p. narzędzia.

Wspulchniając powyższemi narzędziami głęboko ziemię, czynimy grunt przez to o wiele lepszym, gdyż za każdym razem mamy możność z głębszych warstw wydostać na powierzchnię świeżą ziemię, która pod działaniem czynników atmosferycznych staje się urodzajniejsza.

Najnowsza nauka i jej liczne środki pomocnicze pozwalają być dobrej myśli, że przy odpowiedniej starannej uprawie, poniekąd sprzyjających warunkach podgruntu i obfitem mierzwieniu nawet najgłębszą warstwę ziemi wydostawszy na wierzch, uczynimy przydatną pod uprawę roślin, lecz o tem pomówimy przy zakładaniu nowin.

Ze środków, które bardzo prędko poprawiają nawet oporne grunta, czyniąc je kruchemi i urodzajnemi, polecić mogę margiel i wapno.

Nawóz sztuczny, dobry stajenny, jak również nawóz zielony, poddany w obfitej ilości, dostatecznie zasila każdy kawałek pola, będącego w uprzedniej uprawie, który wyda nam pożądany pod każdym względem plon.

Nawet zła, bagnista (mułowata) ziemia, użyta jako środek pomocniczy, zmiękcza tęgą glinę, a wzmacnia i przyciemnia grunta piaszczyste, jednak przed użyciem musi przez zimę przeleżeć, aby pod działaniem powietrza mogła się odkwasić, a gdy to nastąpi rozkruszamy ją i rozpościeramy po powierzchni pola, a na wiosnę przyorywamy wtedy, gdy dobrze jest sucha.

Absolutnie jest rzeczą niemożliwą, aby właściciela działek, we wszystkich jego czynnościach w polach dla zwierzyny, można było podporządkować pracy i zamiarom rolnika i ziemianina, gdyż w takim razie najprostsze byłoby wzięcie przez niego do ręki fachowej książki rolniczej, podług której mógłby pracować.

Cele i zamiary rolnika, a właściciela działek nie zawsze są jednakowe. Dla uprawy leśnej musimy postawić zupełnie osobną dewizę, a porównywując ją z ostatecznym celem i zamiarami rolnika, będziemy widzieli, jaka zasadnicza zachodzi pomiędzy nimi różnica.

Rolnikowi chodzi głównie o to, aby jaknajwięcej otrzymał ze swego pola dojrzałego grubego ziarna i wielką ilość słomy. Pola przeznaczone dla paszy pragnie doprowadzić do najwyższej wydajności—wtedy kosi i oprząta siano na zimowy użytek.

Jego łąki nie mogą być tratowane ani przez ludzi, ani przez bydło, gdyż muszą dostarczyć pożywienia dla inwentarza, z którego ciągnie zyski w postaci mleka, mięsa i t. d. i opłaca z nich robociznę, a zatem musi wogóle swoją pracę w polu podporządkować wymaganiom kieszeni właściciela i potrzebie gospodarstwa. Również pola jego nie mogą być rabunkowo wyeksploatowane, a tylko powinny przynosić jeszcze tyle plonu, ile bez uszczerbku dla siebie dostarczyć są w stanie.

Nasze cele są tu wręcz przeciwne—droga, którą obraliśmy, nie może iść w parze z drogą rolnika. Właściciel lasu nie pyta się wogóle o dojrzałość ziarn, które jego pole rodzi. On wymaga przedewszystkiem bujnego wzrostu roślin na zimę i jest zadowolony kiedy np żyto, rzepak i t. d. największy swój rozwój osiągną na jesieni lub w zimie; wtedy plony jego pól zostaną przez zwierzynę w ciągu zimy do wiosny całkowicie zjedzone, do cna stratowane, a pozostałe resztki tak zniszczone, że zaledwie można rozpoznać ich pochodzenie—oto jego radość, bo cel z jego pól został osiągnięty, karmiąc zwierzynę w ciągu całej zimy i utrzymując ją w pożądanej przez niego sile i zdrowiu. W interesie nawet leży samego leśnika zimowe pola na wiosnę przeorać, aby w nich nowe zaprowadzić zmiany. Rzadko jednak się zdarza, żeby przy grubej zwierzynie pszenica, żyto lub rośliny oleiste mogły dojrzewać spokojnie.

Dalszą różnicę w zamiarach obu stanowi, że gdy rolnik wogóle trzymać się musi ściśle płodozmianu i w tym celu posiada cały szereg pasów polnych—to leśnik częstokroć wykonać tego nie jest w stanie.

Dla naszego zato celu musimy posiadać odpowiednie i tak uprawne pola, azeby zawsze i stale przynosiły nam pożądany plon i rodziły takie rośliny, jakich koniecznie potrzebujemy, pomni na to, że utrzymanie pola dla zwierzyny jest pod każdym względem cokolwiek droższe, aniżeli pól ornych, lecz uprawa jego stanie się o wiele kosztowniejsza, jeżeli słabo i nieumiejętnie na niem gospodarujemy.

Gospodarka nasza musi być wręcz odrebna od uprawy rolnika na dużej przestrzeni; rozporządzając bowiem małym paskiem gruntu, hodujemy tylko takie rośliny, które pod każdym względem muszą godnie odpowiedzieć naszym potrzebom i żądaniom. Częstokroć nawet zmuszeni jesteśmy uprawiać w warunkach nieodpowiadających zupełnie ich wymaganiom życiowym, np. możemy być zniewoleni pod zasiew dla seradelli użyć gruntu ścisłego lub poddać jej gliny, kiedy ta roślina w zasadzie bynajmniej tego nie żąda.

Że same przez się z natury najlżejsze grunta piaszczyste wydają nam tak piękne rośliny, których w wielkiem gospodarstwie tylko zupełnie dobre pola dostarczają, jest to zasługą naszej sztuki i umiejętnego zastosowania środków pomocniczych.

Bujna czerwona koniczyna będzie np. na

polu leśnika pięknie rosła i przez długi czas przynosiła rok rocznie taki sam plon, podczas gdy najzdolniejszy rolnik w podobnie lekkiej przepuszczalnej roli otrzymać tego nie może.

Różnimy się od rolnika również i w porach roku pod względem wykonywania robót przy orce—siewie i zbiorze.

Właściciel działek po większej części nie jest w stanie ściśle przestrzegać płodozmianu, często zmuszony on jest wkoło lawirować i pogwałcać niejednokrotnie najelementarniejsze zasady uprawy zboża. Że na zasadnicze prawidła przy uprawie roślin głęboko i płytko ukorzenionych trzeba zwracać baczną uwagę, jużby z racji na pomyślny zbiór, samo przez się jest zrozumiałem; z tem wszystkiem niekiedy od tej zasady uchylić się trzeba.

Pracowitsze zoranie pola, niezwykle obfite gnojenie przychodzą z pomocą naturze i obdarzają małe pola takiemi płodami, które rolnikowi w wielkich—chybiają.

Widzimy zatem pod każdym względem różnicę i w zamiarach i w zastosowaniu środków pomocniczych, jak również i w życiu najdogodniejszych dla nas sposobów.

W dalszym ciągu niniejszej pracy przy poszczególnych robotach uwydatnią się różnice jeszcze więcej pomiędzy gospodarstwem rolnika, a uprawą leśnika.

Przejrzyjmy więc jeszcze raz dla pamięci wszystkie czynności, które nam potrzeba wykonać na polach w uprawie już będących, a przeznaczonych jako pola dla zwierzyny, Dadzą się one ująć w ogólnym zarysie jak następuje:

1) Dostateczne i umiejętne odwodnienie, bez zbytniego jednak osuszenia gruntu.

2) Odpowiednia parcelacja pól na działki.

3) Marglowanie i wapnowanie całych pól i poprawa zaniedbanych kawałków roli.

4) Napełnienie zagłębień (rowów i sadzawek) wodą.

5) Nawożenie próchnicy do wspulchnienia nieurodzajnych gruntów gliniastych — na grunta piaszczyste dla spoistości.

6) Oczyszczanie pól z kamieni i zielska.

7) Zakładanie wałów kompostowych.

8) Głęboka uprawa roli, jej przewietrzanie i wspulchnianie.

Wiemy teraz już dokładnie, jakie cele mają w swej pracy i jak muszą gospodarować rolnik z jednej, a leśnik z drugiej strony. Teraz trzeba obejrzeć się nam, aby przy wyborze miejsca wyzyskać jaknajwiększą dla siebie korzyść, żeby doprawienie gruntu do naszych wymagań względnie najtaniej mogło nas kosztować. Przedewszystkiem, jak to w poprzednim artykule zaznaczyliśmy, zwrócimy naszą uwagę na stare rezydencje. Jeżeli takie miejsca znajdują się jeszcze po folwarkach to nieodzownie powinniśmy je wykorzystać dla naszego celu przy zakładaniu pól dla zwierzyny, w braku tychże dopiero wybieramy stare leśne płaszczyzny i zakupione chłopskie działki. Stare dwory dostarczają nam zawsze obfitego materjału do poprawy pól. Przy burzeniu bowiem starych budynków znajdzie się wapno, gruz, potłuczona cegła i t. p. materjał przydatny na surowe lub bardzo wyschnięte grunta gliniaste. Wapno wspulchnia i zmiękcza rolę, ułatwia jej funkcję i jest pierwszym najważniejszym pokarmem roślin. W starym tynku z mieszkalnych budynków i stajen mamy dalszy środek pomocniczy do zasilenia i przewietrzenia roli. Grunta piaszczyste są również nam wdzięczne za powyższy gruz. Gliniane ściany, cementowe wyprawy, gruz z kominów, kuchen, szabaśników i t. p. są wybornym materjałem na poprawę gruntów.

W starych ścianach pokojowych i pułapach znajduje się azot w postaci amoniaku zwykle w wielkiej ilości tak, że tego rodzaju budynkowy gruz na wszystkie grunta jest wielce pożądany. Nie powinno się z tego ani jednej łopaty zmarnować lub użyć na zapełnianie t. z. kolei w drogach, jak to na nieszczęście często widzieć się zdarza.

Dawniejsze miejsca, gdzie domowe bydło na noc zapędzane było, stare obory i stajnie dostarczają najlepszego materjału dla pól i wałów kompostowych. Zebrany szpadlem nawóz z podwórek, szlam z sadzawek, próchnica ze starych grząd i zagonów ogrodowych, sadze z kominów, okruchy ze stołu i piecy, wszystko to stanowi wyśmienity środek nawozowy. Takiego nawozu używamy na najuboższe i najwięcej potrzebujące pomocy grunta. Sadze rozpuszczone w wodzie lub krwi bydlęcej niszczą wszelkie robactwo z grzęd roślinnych, z krzaków, podziurawionej rzepy, kapusty itp. Słabe rośliny, podlane niemi, bujniej i jędrniej rosną, koniczyna wcześniej wschodzi, nędzne, przesadzone zarówno, jak uszkodzone drzewa owocowe podlewane często silnie rozcieńczoną powyższą substancją poprawiają swój wygląd przychodząc do zdrowia. Trawa również gubi mech po użyciu sadzy nawet kiedy one w formie proszku zostaną na rosę posypane.

Jeżeli budynki starych siedzib są zniszczone, to możemy dawniejsze kamienne fundamenta, stare mury i rozmaite drewniane części, o ile te ostatnie są jeszcze zdrowe, zużytkować pod budowę chlewów, śpichlerzy, budek dla wartowników i t. p. leśnych budowli.

Zaoszczędzi się jaki dobry jeszcze budynek w starym folwarku, to wyzyskać go można dla przenocowania przy zdarzonej sposobności, dlao bserwacji zwierzyny, lub też przechowania potrzebnych jakich materjałów. Jest dobrze, kiedy tego rodzaju budynek nie w środku, lecz w spokojnym kącie pola jest położony.

(Ciąd dalszy nastąpi)

Polowanie na niedźwiedzie w Siedmiogrodzie.

Wspaniałe trofea zasyłają mi pokłon ze ścian mego myśliwskiego gabinetu, wielokończaste rogi jelenie i inne „Konary“, groźne szable kapitalnych odyńców i t. p., a jednak spoczywa me oko z predylekcją na do białości wyblichowanych czaszkach niedźwiedzich; swego rodzaju czar pierwotnych lasów, olbrzymiej siły i dzikość w nich spoczywa, oraz wywołane wspomnienia wspaniałych, dzikich polowań. Niedźwiedź jest i pozostanie królem naszych borów Karpackich, niezważając, iż szlachetny jeleń rości również do tego pretensję. Jako ilustracja niech posłuży ku temu me ostatnie polowanie.



Ruszony z legowiska.

W miesiącach lipcu i sierpniu roku zeszłego zabił niedźwiedź w rewirze O. w okolicy W ą r o s z a, na górskich pastwiskach kilka sztuk bydła, jak również tu i tam porywał owce z pośród stada, bez możności dla mnie dosiągnięcia go.—Prawdę mówiąc, nie chciało mi się tem zajmować i chętnie pozostawiłem mu czas do wyczesania sobie futra, wtedy jeszcze marnego i do wyszykowania go sobie na jesień. Pomimo tego w początkach września o mało, iż nie stało się z nim nieszczęście podczas biesiady na malinach, gdy go mój dzielny Dudek, zamiast poszukiwanego kapitalnego odyńca, wyszczekał; długo tłukł się po gąszczu, lecz na swoje szczęście nie popadł mi pod lufę, wyłamał i tym jeszcze razem uniósł swą skórę w całości.

Aż do czasu jeleniego bekowiska nie wiele dawał znać o sobie, przesiadywał ustawicznie w wielkich gąszczach na obficie obrodzonych tego roku malinach i straszył baby zbierające jagody. Dopiero 24 września o 10 godzinie wieczorem, zawiadomił mnie jakiś tracz, iż zeszłej nocy zabił tęgi niedźwiedź krowę w pobliżu tartaku, bym też zaraz przyszedł, dopóki licznie włóczące się po okolicy psy pastuchów nie zjedzą szczątków krowy; niedźwiedź pożarł tylko wnętrzności i zapewne dzisiejszej nocy znów się pojawi.

Ponieważ tegoż dnia po południu ubiłem kapitalnego o dwunastu odnogach jelenia i byłem zajęty zachowaniem mięsa oraz przenosinami do innego domku myśliwskiego, przyczem już była późna i ciemna noc bezksiężycowa, miejsce zaś, gdzie leżała krowa było mi zupelnie obce, przeto postanowiłem tej nocy nic nie poczynać i udałem się dopiero dnia następnego rankiem z leśnikiem do owego tartaku, gdzie zastałem następującą sytuację: w g ł ę b o k o wrzynającej się dolinie strumienia stoi rząd tartaków; w pobliżu nieczynnego wypadkowo tartaku, nad którego nieruchomem k o ł e m puszczona woda z szumem się przewalała, leżała w właściwem łożysku strumienia, którem mało tylko wody płynęło, okazała rasowa krowa z pożartemi j u ż słabiznami oraz częścią żeber. Skóra wisiała jeszcze u grzbietu, u szyi zaś przymocowany na podwójnym łańcuchu był dzwonek, gdyż właściciel nie miał widocznie czasu wyratować tych nawet resztek.

Prawą stronę doliny, na której stoku stoi tartak, pokrywa aż do łożyska strumienia zwarty las sosnowy, lewa strona zaś doliny to pastwisko z licznemi brogami siana i pojedyńczo stojącemi grupami drzew na stokach. Na tem pastwisku powalił niedźwiedź nocy poprzedniej krowę, pokonawszy ją po długiej walce i zagrzebał w bagnistem miejscu na lewym brzegu strumienia; na owem miejscu leżała jeszcze kupa wielkich brył ziemi, wyrwana przez niedźwiedzia łapami i kłami z mokrego gruntu łąki oraz nawalona na krowę.

Ponieważ w tym czasie przypada właśnie zgon bydła z gór, znajdowało się przeto wiele stad owczych u wspomnianych brogów w przepędzie, liczne zaś psy owczarskie aspirowały również do udziału w łupie, czem rozgniewany miś, wygrzebał dzisiaj o brzasku dnia krowę i zawlókł ją aż do blizkiego łożyska strumienia, gdzie został przypadkowo spotkany przez dwóch przechodzących drwali i przepędzony. Gdyby mu nie przeszkadzano, zawlókłby krowę zapewne do poblizkiego lasu. — Psy



owczarskie natychmiast objęły po nim spadek, ujadając zawzięcie przy naszem ukazaniu się, a trzy kruki krakały do tego na swą ponurą nutę.

Stojący na lewym stoku brzegu biało-szary pień, widoczny dobrze zdaleka, markował wyraźnie miejsce, na którem leżała krowa; środek ciała krowiego leżał nawet częściowo pod szerokiemi korzeniami pnia. To wszystko oraz grupa wysokopiennych sosen o jakie 12 kroków w dół strumienia po tej samej stronie, skłoniły mnie do następującej kalkulacji: jeżeli zasiądę pod temi sosnami, to będę miał zapewne przez całą noc pomyślny wiatr, gdyż doświadczenie uczy, iż w górach ciągnie on z góry w dolinę, tam też znajdę dobrą osłonę z tyłu przeciwko niedźwiedziowi, który napewno wyłoni się z lasu, a nawet gdyby miał zwekslować przez otwarte pastwisko, jest to miejsce dla zasadzki pomyślnie położone, gdyż daje mi dobry widok oraz możność, nawet przy niepomyślnym wietrze, dać strzał, o ile bowiem widać, niedźwiedź nie okazuje zbytecznej trwogi przed ludźmi, których ślady co krok musi mijać. Najwięcej mógłby mi szkodzić szum wody u tartaka, jednakże zwykł miś przy żarciu podnosić taki hałas kląskaniem, rwaniem i miażdżeniem kości, który przytem w obecnym wypadku, z powodu wiszącego u szyi krowy dzwonka, jeszcze się spotęguje, iż będę miał możność podejść do niego zupełnie blizko, by dać pewny strzał. Gdyby wbrew oczekiwaniu, strzał miał zawieść, co wobec odległości zdaje się być wykluczone, w takim razie mówiłem sobie, iż należy się spuścić na me szczęście łowieckie, które w podobnym wypadku nigdy mnie nie zawiodło.

Dwa błędy popełniłem jednakże przy tej kalkulacji; po pierwsze, iż nie zaopatrzyłem się i nie przyniosłem ze sobą na wszelki wypadek dużej acetylenowej latarni z reflektorem (która tymczasem zastąpiona została przez latarkę elektryczną); mogłaby ona oddać mi nieopłacalne usługi. Lecz miałem ze sobą tylko młodego chłopca, któremubym nie mógł powierzyć manipulacji z latarnią, gdyż mogłem rachować prawie napewno, iż tenże w krytycznej chwili nie zastosowałby jej właściwie, powtóre przy polowaniu na niedźwiedzie trzymam się zazwyczaj starej zasady: „Sam sobie dopomagaj!“ Na tem polu porobiłem najróżnorodniejsze doświadczenia i z zasady unikam jak mogę cudzej pomocy. Oszczędza się sobie w ten sposób niejednej przykrości. Drugim błędem było, iż do tego polowania posiadałem nieszczególną broń, mianowicie zaś fuzję Manlicher Schönauer kal. 9, która pomijając swą skuteczność w działaniu, wskutek urządzenia muszki, zdawała się być mało odpowiednią do nocnego strzału. Moją expres-dubeltówkę posłałem niestety parę dni temu do puszkarza i nie kazałem jej jeszcze odebrać, wyboru więc nie było.

O 6-ej wieczorem zasiadłem. Swoje zewnętrzne „ja“ zaopatrzyłem przezornie w płaszcz, wewnętrzne zaś posiadało w pogotowiu butelkę „Thermos“ z gorącą herbatą z odrobiną wina czerwonego, tak więc oczekiwałem, co miało nastąpić. I nastąpiło.

Naprzód obszczekały mnie trzy owczarki i miałem kawał roboty, by je trzymać w oddaleniu od padliny, rzucając w nie kamieniami, zwłaszcza zaś jeden, wyglądający na nader wygłodzonego kundel zasiadł naprzeciw mnie i zdawał się wcale nie chcieć przestać ze swem ujadaniem. Dopiero z nastaniem ciemności poprawiło się; często wystarczało grożące poruszenie ręką, by psy odpędzić. Tylko w sąsiednim tartaku huczało nieprzerwanie, tracz pracował aż do późnej nocy.

Godziny mijały niepomiernie wolno. Dwa kundle w ciemności dobrały się niepostrzeżenie do padliny i od czasu do czasu warczały na siebie. Nagle, była godzina może 9 wieczorem, usłyszałem od strony lasu szmer, jak gdyby kto rzucił ciężkim kamieniem po przez drzewa, później usłyszałem trzaskającą grubą, suchą gałęź, głuchy upadek, po którym niezwłocznie nastąpiło wyskoczenie dwóch psów z łożyska strumienia i wślad zatem zadzwonił dzwonek u karku krowy, jak gdyby gwałtownie szarpany we wsze strony. Miś był przy robocie, zaczął ucztować.

Chwytam za bezpiecznik mej broni i przekonałem się, iż wszystko znajduje się w porządku, zrzuciłem płaszcz i zrobiwszy mały łuk przez łąkę, skierowałem się ku wspomnianemu, widocznemu pniakowi.

Dokończenie nastąpi.

Spotkanie z niedźwiedziem.

Nakoniec zwycięzka wiosna pokonała olbrzyma zimę, pod działaniem promieni jej złotej słonecznej tarczy, ogromne masy śniegu, które od wielu już miesięcy na polach i po lasach leżały, zaczęły coraz więcej maleć aż w końcu czując się bezsilnemi musiały ustąpić.

Kto nie bywał w Rosji podczas zimowych miesięcy, kiedy mrozy nierzadko dochodzą do 40 i więcej stopni, kiedy zamiecie śnieżne t. z. „burany“ wyrównały pola, rowy i drogi na jedną płaszczyznę, a zaskoczeni w drodze podróżni przez tę śnieżną zamieć, zostali zasypani, aby dopiero przy topnieniu śniegów na wiosnę być jaskrawym dowodem majestatu i siły rosyjskiej zimy—ten nie jest zdolnym odczuć radości, z jaką witają mieszkańcy tych stron powracającą wiosnę.



Do liczby owych mieszkańców z weselem witających tę ostatnią, należałem i ja. Pierwszy jednak dzień prawdziwie wiosenny— kiedy natura budzi się w całej pelni po śnie zimowym do życia — pozostanie dla mnie na zawsze żywem wspomnieniem wstrząsającego wzruszenia, jakiego doświadczyłem na sobie. Otóż pewnego takiego dnia, zadowolony wielce, że po długotrwałej jeździe sankami, mogłem nareszcie dosiąść mojego ulubionego konia, aby objechać oddany mej opiece rewir i naocznie się przekonać, jak prędko będzie możliwe dokończenie rozpoczętej jeszcze na jesieni roboty, którą uskutecznić było można dopiero po dostatecznem osuszeniu gruntu z nadmiaru wilgoci, powstałej z wiosennych roztopów. Obejrzawszy wszystko, co miało jakąkolwiek styczność z moim fachowym obowiązkiem, a korzystając z pięknego dnia, nie miałem wcale ochoty powracać zaraz do mojej leśniczówki. Uniesiony swemi myślami pofolgowałem cugli koniowi, który niczem nie będąc skrępowany wolno posuwa się zarośniętą drogą, prowadzącą przez cały mój rewir do starego sosnowego lasu.

W gęstwinie leśnej panował półcień, światło słoneczne zaledwie małemi smugami przedzieralo się do wnętrza lasu i na polanki gdzieniegdzie się tam znajdujące. Droga skończyła się. Jechałem teraz pomiędzy olbrzymami drzew sosnowych bez wytkniętej drogi, po gruncie, którego powierzchnię pokrywał miękki mech. Kopyta mojej „Irmy“ zagłębiały się w nim do samych pęcin, przez co i zupełnie głuszyły bieg konia. Znudzony w końcu tą monotonnością miałem zawrócić już konia, gdy naraz przykuła uwagę moją mała polanka odległa odemnie mniej więcej na 200 metrów, którą promienie słońca padając z góry dobrze oświecały; nie mogłem oprzeć się pokusie, aby nieznanego sobie miejsca dokładnie nie zbadać, co też bez namysłu uczyniłem. Ponieważ grunt, po którym dotąd jechałem, stawał się coraz wilgotniejszy i zaczął silnie „chlupać“ zeskoczyłem z konia i przywiązałem go za uzdeczkę do grubej gałęzi; dlaczego jednak go uwiązałem nie mogę sobie po dziś dzień dokładnie zdać z tego sprawy. Uczyniłem to wbrew mojemu przyzwyczajeniu, gdyż zwykle zostawiałem go luzem, gdzie spokojnie, nieraz bardzo długo oczekiwał mego powrotu, nie ruszając się z miejsca, w którem był zostawiony, dość jednak że się tak stało, a sam z harapem w ręku udałem się w kierunku uprzednio dostrzeżonej polanki. Przyszedłszy na miejsce przekonałem się, że mój do-

mysł był słuszny, że owa próżnia okolona leśną zwartą całością powstała tylko z połamania drzew przez olbrzyma leśnego, których próchniejące jeszcze szczątki nastroszoną kupą przykrywały ziemię. Zainteresowany tem odkryciem przyglądałem się znajdującym się na brzegu polanki niektórym pniom, a przewiesiwszy za rzemyk swój harap, postawiłem prawą nogę na jednej z grubych gałęzi, z których była utworzona wyżej wspomniana kupa i wyjąłem z kieszeni podręczny leśny notes, ażeby obliczyć objętość jednego z tych olbrzymów, które zwróciły moją uwagę. W chwili kiedy wyjmowałem ołówek z notesu, nagle cała kupa gałęzi, przed którą stałem, raptownie w górę się uniosła, krótki, lecz ścinający w żyłach krew dał się słyszeć ryk i potężny niedźwiedź wybiegł z pod tych gałęzi, a otarłszy się prawie o mnie, w szalonym biegu uciekł do lasu w kierunku tym, zkąd ja przyszedłem. Oniemiały z przerażenia, bez joty energji, stałem jak zahypnotyzowany przez dłuższą chwilę, nie mogąc się ruszyć z miejsca, bezmyślnie patrząc za uciekającym niedźwiedziem, chociaż on już po kilkunastu susach znikł zupełnie z moich oczu. Dopiero głośne rżenie, drgające również panicznym strachem, jakie wydała moja „Irena“, powróciło mi świadomość i przypomniało o niebezpieczeństwie, jakie jeszcze wisiało zarówno nademną, jak i nad moją biedną klaczą. Za całą obronę miałem harap, opatrzony kawałkiem ołowiu na końcu, który w ręku silnego mężczyzny może służyć za dostateczny środek obrony przeciw ludziom i małym zwierzętom, o czem z doświadczenia wiedziałem, używając go niejednokrotnie w tym celu, przeciwko zaś niedźwiedziowi nie mogłem na niego zgoła rachować, jak również niedostateczną obroną był i mój rewolwer, który mówiąc nawiasem, miałem zatknięty przy siodle na uździennicy, trzymany zaś w ręku ołówek nie zaimponowałby również niedźwiedziowi. Lecz zadaleko odbiegłem od rzeczy. Otóż usłyszawszy żałosne, połączone ze strachem rżenie mojej „Irmy“, nie bacząc na grożące jeszcze niebezpieczeństwo, gwałtownie rzuciłem się w kierunku pozostawionego konia, aby mu w razie wypadku przyjść z pomocą, o ile mój rozum i siła mogły podołać zadaniu. Po kilkunastu krokach ku mojej najżywnej radości zobaczyłem „Irmę“ stojącą na dawnem miejscu. Wierny przyjaciel powitał mnie radosnem przeciągłem rżeniem, zupełnie innem, niż poprzednio słyszałem, a o ile pozwalała jej spętana uździennica, wykonywała ruchy takie, jakby chciała najprędzej do mnie się przytulić. Kiedy podszedłem do niej i zacząłem łagodnemi słowy uspakajać, głaszcząc jej szyję, tarła cicho swe nozdrza o moje ramię, jakby chciała odpowiedzieć na moje pieszczoty. Jakże jednak wyglądało przerażone zwierzę! całe potem pokryte, jakby ją dopiero co z wody wyprowadzono. Było to jednak zrozumiałe, gdyż niedźwiedź uciekając, mimowolnie obrał sobie kierunek gdzie stał mój koń, na którego musiał się natknąć, przelękłe zwierzę, zarżawszy przeraźliwie, przestraszyło jeszcze więcej niedźwiedzia, który dopiero na pięć kroków od konia raptownym skokiem pod kątem prostym zwrócił się do ucieczki i dopiero daleko gdzieś musiał odpocząć. Kiedy „Irmę“ prowadząc za długie cugle, chciałem jeszcze kawałek drogi iść za świeżemi śladami niedźwiedzia, szarpnęła się wzburzona na nowo, oparła się przedniemi kopytami o ziemię, a łeb odrzuciwszy w tył, wzbraniała się iść dalej. Zniewolony jej uporem zawróciłem „Irmę“ na dawniejszą drogę, wskoczyłem na siodło i puściwszy ją luzem, dałem swobodę ruchu, aby mogła dla swego wewnętrznego uspokojenia jaknajprędzej dobiedz do stajni w leśniczówce. Po przybyciu do domu starannie wytarłem i okryłem, lecz strach, który jej dotychczas nie opuścił, nie pozwolił jej przyjmować pokarmu, który podawany za każdym razem stanowczo odrzucała, czując natomiast niezwykłe zwiększone pragnienie.

Wznowione na drugi dzień poszukiwanie legowiska niedźwiedzia potwierdziło przypuszczenie, że był przezemnie wystraszony ze swego zimowego snu i tem tylko można wytłómaczyć jego nader spieszną ucieczkę. Temu jednak przestrachowi zawdzięczam swoje i mojej „Irmy“ ocalenie, gdyż moralnie jestem przekonany, że innym razem, będąc bezbronnym nie uszedłbym cało. Po wyrzuconym mchu i odciśniętych łapach na ziemi miałem dopiero wyobrażenie, jakim przestrachem musiał być gnany niedźwiedź, który przebiegł cały mój rewir, wynoszący około trzech wiorst drogi w prostej linji nie zwalniając jednak biegu, co widoczne było po jednakowych odstępach śladów jego nóg i odpoczął dopiero w sąsiednim lesie.

To było pierwsze moje spotkanie z niedźwiedziem, następnie zaś, których było kilka w ciągu tegoż roku, mniej niewinnie dla jednej ze stron się zakończyły. O tem jednak opowiem innym razem.

W. Orz.

Podłe czasy.

Powiadają kalendarze,
Jak dawna tradycja każe,
Że już styczeń, więc mróz srogi,
Śnieg zasypał wszystkie drogi.
A tymczasem odwilż wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?
Drzewo leży bez wywozu,
Oczekując próżno mrozu,
A mróz błądzi w obcym kraju:
Zajdzie do nas chyba w maju...

Podła zima, podłe czasy,
Tak goworzą nasze lasy,
Podłe rządy nam nastały,
Jakie nigdy nie bywały.
Trzeba przeto zmienić rządy
(Praca morza zmienia lądy)
Wiosna, lato, jesień, zima
Niech dawne porządki trzyma;
Więc niech wiosna już zamieni
Czas przeklęty tych kaleni!

A gdy bór zaszumi wiosną
I zanuci pieśń radosną,
Hej! leśniku, bracie miły,
Wtedy zbieraj wszystkie siły!
Nie zagrzewaj kąta w chacie:
Hen robota czeka na cię,
Idź do kultur, do poprawek,
Zaleś mądrze każdy skrawek,
By pokoleń przyszłych rządy
Nie pytały „a las kądy?“...

M. Godlewski.

LUŹNE UWAGI.

Ciekawa polemika zawiązała się na łamach „Gazety Leśnej i Myśliwskiej“ między panem Godlewskim, a anonimowym obszarnikiem z Litwy. Ciekawa i dla człowieka badającego nasze stosunki społeczne, ciekawa i z punktu widzenia fachowego, boć stosunki między właścicielem lasu i jego płatnym administratorem bezsprzecznie ogromną odgrywają rolę przy owocnej pracy dla dobra naszego leśnictwa.

Pan Godlewski, pisząc swe słowa o trudnościach, jakie się nastręczają fachowemu leśnikowi przy koniecznem manewrowaniu pomiędzy chęcią prowadzenia celowej i pożytecznej gospodarki leśnej z jednej strony, a wypełnianiem często niezrozumiałych zachcianek i woli nieznającego się na rzeczy swego chlebodawcy z drugiej, nie przypuszczał zapewne, że czytelnicy gazety w tak prędkim czasie będą się mogli dokładnie przekonać o prawdziwości słów jego. Każdy bowiem, kto przeczytał odpowiedź panu Godlewskiemu, pisaną przez „obszarnika z Litwy“, jeżeli tylko przyjmie pod uwagę, że obszarników, podobnych autorowi odpowiedzi, może być więcej, ostatecznie zgodzić się musi na słowa pana Godlewskiego. Boć posłuchajmy, co mówi nam obszarnik z Litwy:

„Nie wiem, czy pan G. jest dobrym specjalistą leśnikiem, czy nie, czy myśliwstwo traktuje z zamiłowaniem, do czego jest obowiązany, jeśli pracuje jako specjalista lęśny, ale powtarzam, że prawo zwracania uwagi lub krytyki ***ma tylko równy, a chyba pan G. niema pretensji, byśmy, właściciele większych obszarów leśnych, za takiego go uważali.*** *I dlatego niechaj się nie dziwi, że stokroć więcej* ***zwrócimy uwagę na to, co powiedział „ks. X., lub hr. Y“,*** *jak się wyraził, aniżeli na jego wskazówki“.* Słowa bajecznie szczere, tak szczere, że napisać i wydrukować je można tylko anonimowo, jak to uczynił „obszarnik z Litwy“, ale nie o szczerość tych słów nam chodzi. W słowach „obszarnika z Litwy“, przy czytaniu których zdaje się nam, że mamy przed sobą jakąś humoreskę, kryje się przecież smutna rzeczywistość.

My mamy między sobą dużo jeszcze takich „obszarników z Litwy“; im więcej ich mamy, tembardziej prawdziwemi stają się słowa pana Godlewskiego.

W dalszym ciągu nie będziemy odpowiadali na takie słowa „obszarnika“, jak te np.: „Właścicielowi ***wolno wymagać więcej,*** aniżeli było przy umowie zgodzone, ***wolno mu, stosownie do swej woli, zmniejszać wynagrodzenie*** i korzystanie z naturalji, bo zawsze znajdzie kogoś, kto oficjalistę niedogodnego zastąpi“, albo na słowa: „Choćby się przyjęło gorszego od wydalonego, to jednak wynagrodzi to poczucie tego, że właściciel jest panem w swym majątku i że dał przykład in-

nym, podkreślając to jasno", bo musielibyśmy mówić o tem, jak to ludzie rozmaicie tłómaczą sobie etykę, w zależności od tego, co im dogadza, lub o tem, że aby być człowiekiem umysłowo rozwiniętym, nie wystarcza być „obszarnikiem z Litwy", na zakończenie mamy raczej małą prośbę do „obszarnika". Dla nas ogromnie ciekawą rzeczą byłoby wiedzieć, iluż my mamy jeszcze obszarników leśnych, o podobnych do szanownego autora odpowiedzi poglądach? Możeby zatem „obszarnik z Litwy" zechciał założyć pismo, którego brak dotkliwie daje się we znaki naszemu piśmiennictwu, pismo redagowane i zapisywane przez obszarników leśnych i dla nich też specjalnie przeznaczone. My zaspokoilibyśmy wtedy ciekawość swą, a szanowny „obszarnik z Litwy" miałby otwartą drogę do wykazania swego pisarskiego talentu i bogactwa swych myśli.

Naszem zdaniem byłoby to i pożyteczne i... zabawne.

Obszarnik z Królestwa.

Obszarnikowi z Litwy.

Z litewskich bagien, nieznanej głębi,
Człek się wyłonił i słowem ziębi!
Wiekiem zatarte glosi zasady,
Z czasów niewoli daje przykłady.
Jaśnie Panie! Racz uznać łaskawco,
Żeś pracy, nie chleba dawcą;
Chleb nasz powszedni i szczyptę soli,
Chcę pracą zdobyć, lecz bez niewoli!
Znasz-li uczucia szlachetnych ludzi,
Gdzie każda praca szacunek budzi?
Jakże je porównać z Twoją zasadą,
Gdy Ty już myśli grozisz zagładą?
Wyrozum Panie ze słów Godlewskiego,
Że one w treści nie niosą nic złego,
Żadnej zachcianki, ni zarozumiałości,
Ani też godzą przeciw Twej własności;
Chociaż on bażanta i zająca łowcą,
Ale nie wrogiem, tylko ich hodowcą.
Słowa Godlewskiego są dla dobra lasu,
Dobra ich właścicieli i ducha czasu.
Przeto zejdź, Panie, z tej mylnej drogi!
Nie krzywdź Twe lasy i naród ubogi!
I niechaj Cię strzegą święci anieli,
Byś nie utonął w bagien topieli!

Nieobszarnik z Łodola.

Korzystając z łaskawie udzielonego zaproszenia Szanownej Redakcji „Gazety Leśnej i Myśliwskiej", w kwestji artykułów p. Godlewskiego, pomieszczonych w tej „Gazecie, pragnę skreślić słów kilka

Co do artykułu w Nr 12 „Gazety L. i M." „Uwagi o stosunku wzajemnym gospodarstwa leśnego do rolnego" —sądzę, że poglądy p. G. powinny mieć zastosowanie, gdyż sens w nich jest tak jasny, praktyczny, a przewidywany wynik korzystny, że dwóch zdań tu być niepowinno. Szanowny autor poruszył w tym artykule kwestję pasania bydła w lesie, wspominając z tego powodu o wielkich szkodach. Z tem powinien każdy sie zgodzić, gdyż pasanie w lesie kilkuset sztuk bydła, przynosi wielkie straty. I słusznie, gdyż straty rzucają nam się w oczy już takie namacalne, jak obgryzanie pędów z drzewek młodych liściastych i tratowanie innych młodszych siewek; jak kaleczenie korzeni racicami na ziemiach podmokłych, a i często wypadki pożarów z powodu zapuszczenia ognia przez pastuchów. Jak się pewien znany leśnik wyraził „las winien być świątynią", a przez pasanie bydła, że tak powiem, las się pospolituje i stawia go się na bardzo nizkim poziomie. Pasanie powinno być wzbronione tembardziej, gdy właścicielowi chodzi o zwierzynę, bo każdy przyzna, że pasanie bydła wypłasza i niepokoi zwierza, który wybiera, jak wiemy, knieje i ustronia spokojne. W lesie starym sosnowym, przeznaczonym do eksploatacji, bydlo mniej szkody czyni, w lesie zaś liściastym szkody już są wielkie. Może być, że z punktu widzenia zyskownego, przy dzisiejszej drożyźnie ziemi i popłatności produktów rolnych, może się i opłaca właścicielowi pasanie bydła w lesie, gdyż w braku odpowiedniego pastwiska, w to miejsce musiałby właściciel odpuścić odpowiednią część roli, która naturalnie użyta w inny sposób mogłaby przynieść poważny dochód.

Dalej szanowny autor poruszył kwestję stosunku zarządu administracji rolnej do leśnej, a p. W. Olszowski przypuszcza, że taki stosunek może istnieć pomiędzy p. G. a jego szefem. Nie chcę przypuszczać tego ani chwili, i sądzę, że p. G. występuje tu w imię ogólnej zasady, gdyż kwestje poruszone przez p. G. zachodzą jeszcze w obecnym czasie, że wielu może przytoczyć naoczne przykłady. Naprzykład w pewnym majątku, gdzie zarządzał administrator, stawiano oborę. Gdy już wiązania dachu były ukończone, administratorowi wpadł nowy projekt powiększenia tej obory, a że koszta, które były objęte kosztorysem nie starczyłyby na tę powiększoną oborę, więc administrator zażądał do ukończenia obory materjałów z lasu sposobem już nie porachunkowym, a czysto podarunkowym, t. j., aby materjałów nie przychodowano, a wprost dodać, jako brakujące do ukończenia obory. Leśniczy, rzecz prosta, nie zgodził się, a drażliwą kwestję rozstrzygnął właściciel na korzyść tego ostatniego.

W Nr 16, w „Luźnych Uwagach", p. G. wyłuszcza sprawy, które powinny mieć zastosowanie w każdym majątku. Cytaty p. G. poparte są tak trzeźwem rozumowaniem, że osobistość nawet stronna niema wyjścia, czyli wykręcenia skórki do góry włosem. Na przykład co do uzbrojenia gajowych: twierdzenie, że gajowy uzbrojony w broń śrutową, może się stać kłusownikiem, nie wytrzymuje krytyki, gdyż kłusownik, jeżeli takim jest gajowy, to i bez tej broni znajdzie inne sposoby niszczenia zwierzyny, jak spółka z kłusownikami, wnyki i t. p. słusznie też zwraca uwagę p. G., ze jeżeli gajowemu powierzamy las warto-

ściowy, dla jakiego powodu nie mamy mu ufać pod względem ochrony zwierzyny. Ktoś może zwrócić uwagę, że zwierzyna jest to rzecz łakoma, a człowiek stojący na tak nizkim poziomie inteligencji, jak gajowy, nie może się oprzeć pokusie. Sądzę, że z tem można się zgodzić, a w takim razie uważałbym za odpowiednią broń dla straży leśnej dobre rewolwery. Gdyż jeżeli straż leśna chce sumiennie prześladować kłusowników i walczyć z nimi, to i bez dalekonośnej broni może skutecznie walczyć.

Z drugiej strony, jeżeli chodzi o utrzymanie dobrego stanu zwierzyny, a tem samem o tępienie drapieżników, to rewolwery tu są nieużyteczne. A więc możeby lepiej było, aby straż leśna podczas lęgów od marca do października była uzbrojona w śrutówki, a w czasie zimowym od października do marca—w rewolwery. I tu może się zrodzić przypuszczenie, że i w czasie lęgów gajowy-kłusownik będzie bił zwierzynę, Tu jako odpowiedź może służyć tylko to, że jeżeli mamy ludzi uczciwych, starajmy się byt ich tak zabezpieczyć, abyśmy ich mogli u siebie zatrzymać, gdyż złe wynagrodzenie innego może popchnąć na złą drogę, inny zaś będzie szukać korzystniejszej posady, bo jak mówi przysłowie: „Est labor ingratus quem praemia nulla sequuntur".

Jestem przeciwnikiem dodawania ziemi do etatu chaty leśnej, z wyjątkiem małego kawałka na ogrodowiznę, gdyż zważywszy, że w innych zarządach straży koni trzymać nie wolno, w innym zaś wypadku gajowy nie posiada funduszów na kupno konia, a ziemię potrzeba obrobić, więc gajowy musi iść do wsi, musi tam mieć niejaki mir, aby gospodarz porzucił robotę na swej roli: zwózkę zboża, sianokosy i inne, a iść wtedy i plony gajowego uprzątnąć, lub też te plony zasiać. Chłop za pieniądze nie bardzo chętnie idzie cudze obrabiać, aby swoje opuścić, ale on idzie, bo liczy na rozmaite ulgi ze strony gajowego, chociażby najmniejszej wartości, jak zbieranie grzybów, jagód, ściółki i inne, czyli jaśniej: taki pan ma wstęp do lasu wolny, gdyż on potrzebny jest gajowemu. Nie zapominajmy i o tem, że za takie usługi gajowi mogą dopuszczać się i większych nadużyć. Z drugiej strony gajowy, który posiada przydzieloną do swej posady ziemię, opuszcza włożone na niego obowiązki, boć przecie jasnem jest, że ziemię potrzeba obrobić. Tym sposobem straż leśna odrywa się od lasu.

P. Godlewski uważa właścicielom za błąd, że nie pozwalają polować wyższej służbie leśnej na swych terytorjach. Nie uważam to za bardzo złe ze strony właścicieli, gdyż od tego on jest właścicielem, aby dowolnie postępował ze swoją własnością, co na jego miejscu każdy z nas możeby też czynił. Zresztą nie wszędzie są jednakie warunki. Są np. tacy, że wymagają od leśnika dobrego stanu zwierzyny, a jednocześnie zabraniają bić lisów. Leśnik wtedy znajduje się pomiędzy młotem a kowadłem. A i to da się wytłómaczyć, boć przecie nasz pracodawca jest właścicielem.

Niezupełnie można się zgodzić z p. G., że uważa za złe przebaczenie winy lub jej łagodzenie. Są charaktery rozmaite, jeden osobnik za pierwszą karą poprawi się, innego przeciwnie pierwszy występek i pierwsza kara za występek popchnie na złą drogę i jest początkiem jego zwyrodnienia. A i mówią, że: „koza nikogo nie naprawiła". Nie ulega kwestji, że wrodzoną cechą charakteru leśnika winna być jego stanowczość i nieuległość w danych wypadkach. Bezwarunkowo jeżeli dla złagodzenia kary ktoś stawia jako argument zemstę, to wtedy nie powinniśmy ustąpić na odrobinę, bo jak mówi p. G., będą sądzili, że „ustąpił, bo się bał zemsty".

A teraz co do artykułu obszarnika z Litwy. W Nr 1 „Gazety L. i M." z r. 1913, obszarnik z Litwy na artykuły p. G. dał odpowiedź, na którą, jak zaznacza w przypisku Szan. Redakcja, nie ze wszystkiem się godzi i sąd w tej mierze pozostawia czytelnikom. Myślę, że wielu i wielu nie zgodzi się na wszystkie poglądy obszarnika z Litwy. Ponieważ odpowiedź ta robi wrażenie, że jest skierowana więcej przeciwko osobie p. G., aniżeli jego artykułom, nie będąc upoważnionym ze strony p. G. nie mogę występować w tej kwestji. Obszarnik z Litwy z wyjątkiem paru zasadniczych spraw porusza takie kwestje, na które, jako najstosowniejsza odpowiedź, niech służy, jak on się sam wyraża, ironiczny uśmiech i wzruszenie ramion. Uważam za dobre zaznaczyć jedynie to, że obszarnik z Litwy poczytuje za złe p. Godlewskiemu, że ten występuje otwarcie. Dziwić się raczej należy obszarnikom z Litwy, że występują w obronie swych zasad z opuszczoną przyłbicą i zasłaniają się pseudonimem; gdyż, gdyby wszyscy nasi szefowie byli tego zdania co obszarnik z Litwy, to w takim razie musielibyśmy mieć ciągle na uwadze, że jak powiadają: „za prawdę biją".

Sokołowski.

„Gwiazdkowy" numer „Gazety Leśnej i Myśliwskiej" przyniósł przyjemną mi gwiazdkę: widzę mianowicie, że zainicjowane *Luźne uwagi* i krytyka nienormalnych stosunków, panujących często przy traktowaniu spraw leśnych przez osoby, chociażby o najlepszych chęciach, lecz mało kompetentne, wzbudziły odrobinę zainteresowania, czego oznaką są trzy artykuły, których nie mogę pozostawić bez odpowiedzi.

Szanowny autor, ukrywający się dyskretnie pod pseudonimem *Mieszko z Podlasia* podniósł ważność umundurowania i uzbrojenia naszej służby leśnej. Zupełną przyznaję słuszność, że karabinki lub rewolwery, jako środki samoobrony, mają znakomitą wyższość nad kapiszonówkami i berdankami. Lecz czy żelaza i trutka wystarczą do walki w zimowych miesiącach z drapieżnikami? Może je-

stem w błędzie, lecz osobiście sądzę, że łatwiej jest zapobiedz uprawianiu kłusownictwa przez gajowych, a przynajmniej ścisłym dozorem sprowadzić możliwość takich sporadycznych wypadków do minimum, aniżeli przeciwdziałać szkodom, poczynionym przez słabo tępione zimą drapieżniki.

Szanowny i energiczny mój oponent, *Obszarnik z Litwy*, stanął na tak drażliwem stanowisku, że odpowiedź wymaga głębszego zastanowienia i porozumienia się z Sz. Kolegami w tej sprawie, więc odkładam to do jednego z następnych numerów.

Najżywiej jednak obeszła mnie krytyka punktu mego zapatrywania, pomieszczona przez wielce zasłuzonego, mojem zdaniem, na polu rozwoju krajowego leśnictwa, szanownego naszego Kolegę-Nestora, W. Olszowskiego.

Pisząc artykuły daleki byłem od celów dwuznacznych, o jakie mnie Sz. Oponent posądza.

Zarzuca mi, że traktuję sprawę jednostronnie, za pesymistycznie; pozbawione jest słuszności moje twierdzenie, że w wielu wypadkach zły stan gospodarki leśnej spowodowany jest wiązaniem rąk fachowcom przez osoby niepowołane. Z krytyki popełnianych błędów przez szefów wyprowadza z lekkiem sercem wniosek, oskarżający mnie, że na tej drodze załatwiam osobiste porachunki i dążę do celu wyzwolenia się z pod wszelkiej kontroli administracji dóbr, aby „do wszelkich działań w lasach mieć swobodną rękę".

Wielce Szanowny Oponent radzi mi na poczekaniu zmienić pogląd pesymistyczny na optymistyczny i zapewnia, że wobec widocznego rozwoju specjalnych biur leśnych postęp jest widoczny. Konkluzja: stosunki anormalne są rzadkie, wytykać ich nie trzeba, lecz tylko podawać opisy wzorowych gospodarstw leśnych i zachęca do opisu „tego gospodarstwa, jakie w lasach Milanowa prowadzę".

Niezmiernie mi przykro, że jestem zniewolony do polemizowania po części w sprawie osobistej, lecz czy porachunek osobisty jest pobudką, gdy anormalne stosunki poruszam, niechaj będzie wyjaśnienie poniższe.

Opiekując się *cudzemi* lasami po raz pierwszy, z żadnymi szefami nie mogę mieć porachunków osobistych na tle zajść z przeszłości.

Administracja klucza Milanowskiego podzielona jest na dwie zupełnie odrębne jednostki gospodarcze, przemysłowo-rolną i leśną. Obie mają oddzielnych szefów, zależnych bezpośrednio tylko od właściciela. Żaden z zarządów nie współubiega się o zwierzchnictwo; są one w jaknajlepszych stosunkach i pracują razem w celu stałego podnoszenia rentowości majątków *).

Każdy projekt omawiany jest uprzednio z właścicielem, który *nigdy* bez słusznych powodów ich nie modyfikuje i nigdy w kwestjach technicznych czy administracyjnych decydującego nacisku nie wywiera.

Właściciel, nie szczędząc żadnych kosztów i osobistej rozważnej rady, będąc przytem rozumnie oszczędnym, pragnie swe liczne dobra widzieć na przodującem pod każdym względem stanowisku. To też niezmiernie byłoby mi przyjemnie, gdyby Szanowny mój Oponent, po starej znajomości, zechciał łaskawie osobiście mnie odwiedzić, sprawdzić wszystko powyższe i gospodarkę Milanowską leśną osądzić.

Co do faktów, o których w mych artykułach pisałem, to z chęcią prywatnie dla Jego *prywatnej* wiadomości, podam Mu źródła, które do wskazania ich posłużyły.

Niedość jest opisywać gdzie i jak postępują dobrze, by zło usunąć. To zło trzeba wskazać i wytknąć opłakane skutki, jakie może ono pociągnąć.

Bezkrytycyzm sam przez się nie może zła usunąć, a wskazywanie li stron dobrych jest polityką rozumną, nie gniewającą nikogo, lecz do zupełnie konkretnych rezultatów, bez krytyki błędów, nie doprowadzającą.

Zupełnie zgadzam się z Szanownym i drogim mi Oponentem, że kontrola pod *każdym* względem na *każdem* polu jest nieodzowną. Kontrolować musi jednak ten, kto sprawę kontrolowaną zna dobrze, nie ze słyszenia, nie z rozmów dyletanckich, lecz ze studjów i praktyki.

Jeśli przeprowadzamy kontrolę ksiąg, powołujemy ludzi kompetentnych. Dlaczego jednak kontrolę czynnności leśnych, kontrolę sprzedaży, trzebieży, prowadzenia kultur i t. d. mamy traktować mniej specjalnie i nie powoływać do tych czynności poważnych techników leśnych, lecz żądać od właścicieli lub ich zastępców znajomości fachowych — które tak rzadko posiadają?

Niech Sz. Oponent zechce łaskawie zastanowić się nad obszarami leśnemi w Królestwie, na Wołyniu, na Litwie i Podolu, niech będzie łaskaw zajść do Wydziału Leśnego, do Polskiego Biura Leśnego, do Centralnego Biura Leśnego, do biur w Kijowie, niechaj skonstatuje, czy zapotrzebowania inspekcji, urządzeń leśnych, nasion i narzędzi odpowiada obszarom leśnym, będącym w polskich rękach? Dojdzie napewno do rezultatów o wiele więcej pesymistycznych, aniżeli sądzi.

Zgadzam się najzupełniej z twierdzeniem, że postęp w stosunkach leśnych, w ostatnich latach uwypukla się coraz wyraźniej. Optymistą jednak z tego powodu być nie wolno, bo nie jest jeszcze wszędzie dobrze, bo ludzie mimowoli nieświadomością sobie i naszej sprawie leśnej szkodzą. Nie powinniśmy tego dyskretnie przemilczać, lecz przeciwnie, poddawać publicznej krytyce, w celu odpowiedniego wszechstronnego oświetlenia.

Tego nazywać osobistym porachunkiem niewolno!

Co zaś do propozycji ostatniej, to w naj-

*) Pobobny stosunek znajduje się także w Złotym Potoku, majętności hr. Karola Raczyńskiego.
(*Przypisek Redakcji*).

bliższym czasie postaram się podzielić z Sz. Kolegami opisem gospodarstwa, które obecnie w lasach Milanowskich, stosownie do bardzo rozumnej aprobaty ze strony właściciela — przeprowadzam.

M. Godlewski.

Odpowiedź „Obszarnikowi z Litwy“. Czy dobrze zrobiła Redakcja „Gazety“, umieszczając pisanie p. „obszarnika“ (?) bez natychmiastowego przywołania go do porządku? Mnie ono zdumiało, a nie zakwalifikowałbym go do druku dlatego, że rozdrażniając pracowników, nic tem dobrego nie buduje ani dla nich, ani dla obywateli ziemskich, których kompromitować tylko może wygłaszanie przez jednego z ich grona podobnych zasad. — Jakież bo one są? Odpowiedź krótka: „uczciwość obowiązuje tylko pracownika, a nie pracodawcę, który w stosunku do pierwszego ma prawo rządzić się własnem widzimisię i podług niego, a nie podług pierwotnej umowy, może powiększać granice obowiązków i zmniejszać wynagrodzenie nieszczęśliwcowi o mianie: oficjalista“!

Nie, panie obszarniku! pod pańskiem „credo“ nie podpisałby się żaden z prawych obywateli — a tacy stanowią bezwzględną większość naszego kraju.

Posłuchaj pan! Stosunek pracy do kapitału polega na obopólnem wykonywaniu zaciągniętych zobowiązań, a przyczyną łączącą je, to wspólność zadań i wspólna potrzeba wzajemnego uzupełniania się. Jak bowiem kapitał bez pracy zginąłby, tak też i pracownicy bez kapitalistów byliby niepotrzebni. Nie znaczy to jednak, aby wzajemnie uważali się za wrogów, lub też, że jedna strona czyni drugiej łaskę! O utrzymaniu ich stosunku winna decydować produkcyjność pracy, a nie służalczość, czy upodlanie się słabszego przed mocniejszym. Tam, gdzie jest miejsce na wyzysk, tam znajdzie się i wiele innych brudów!

Jeżeli pan „obszarnik“ powątpiewa o prawdzie powyższych słów, niech spróbuje swój personel — jeśli go posiada naturalnie — wydalić, a każdemu nowozgłaszającemu się pracownikowi postawić owe warunki: „będziesz robił, co ci każe, a za to dostaniesz to, co mi się będzie podobało tobie dać“! a zobaczymy wkrótce, jakich oczajduszów sobie skompletuje, no i jak będą wyglądały te jego obszary.

Nienormalne też pojęcia wygłasza pan „obszarnik“ o tem, kto ma prawo i kogo krytykować, dzieląc ludzi na „dobrze i źle urodzonych, posiadających i nieposiadających“; ale pouczanie abecadła XX wieku przekroczyłoby zbytnio ramy niniejszego artykuliku.

Niepotrzebnie jednak, sądzę, straszy pan „obszarnik“ pana G., że nie przyjąłby go do swego majątku, gdyż prędzej pan „obszarnik“, w razie zdemaskowania się, może być w kłopocie znalezienia przyzwoitych pracowników.

Czy wobec takich zasadniczych kontrastów warto dyskutować jeszcze na temat myśliwstwa, które pan „obszarnik“ znajduje tylko przywilejem posiadaczy ziemskich, układając jednocześnie na straż leśną—przeciwko czemu w zasadzie protestować zaczynają zawodowi leśnicy—obowiązek utrzymywania łowiectwa w kwitnącym stanie, a za co pozostaje jej przyjemność strzelania gap i psów.

Różnie się ta kwestja przedstawia! Są właściciele, którzy bezwzględnie prawo strzału zwierzyny użytecznej zostawiają sobie, gdy inni przeciwnie zupełnie się o to nie troszczą i na myśl im zapewne nie przyjdzie, aby zabronić kierownikowi lasu czy majątku prawa strzelania. Osobiście uważam, że w danym razie takie, czy inne postawienie kwestji zupełnie jest zależne od indywidualnego zapatrywania właściciela, musi jednak pozostać obowiązującem w danym majątku dla miejscowego personelu. Inna rzecz, czy w takim w klauzurze trzymanym hodowcy będzie się rozwijało zamiłowanie do łowiectwa, jak to chce pan „obszarnik“? Zdaje się, że nie! Dla porównania zaś nadmieniam, że w pruskich lasach rządowych łowiectwo oddane jest w całości nadleśnym i zwierzostan nic na tym systemie nie cierpi.

Racjonalne łowiectwo ma swoje postulaty, od których niewolno odstępować nikomu, a tembardziej kierownikom, lecz samo się przez się rozumie, że co innego jest tępienie zwierzyny (raubszycostwo), a co innego względne prawo zabicia szaraka, którego widać na Litwie zaliczają do delikatesów pańskiego stołu.

Oficjalista.

RÓŻNE.

Twarda drzemka poobiednia kozy. Kiedy w dniu 18-ym października wyszedłem przed południem na pole i przechodziłem przez pagórek, o jakie 40-ci kroków od siebie ujrzałem cztery sarny tuż obok siebie leżące na miękkiej ziemi. Trzy z nich zerwały się natychmiast i uciekły, czwarta jednak, starsza już koza, pozostała w tem samem położeniu, zwinięta w kabłąk, z głową opuszczoną w odwrotną odemnie stronę. Przypuszczając, że mam przed sobą chorą sztukę, poszedłem wprost ku sarnie i stanąłem tuż przy niej z tej strony, gdzie trzymała głowę. Byłem od kozy oddalony o trzy kroki i uważnie się jej przyjrzawszy, zacząłem przemawiać łagodnie. Jedynym znakiem życia u niej było to, że poruszała lekko łyżkami przy na pół otwartych świecach. Dopiero gdy po upływie minuty pochyliłem się nad kozą, ażeby jej nagłym chwytem nie przestraszyć, i gdy w dalszym ciągu łagodnie przemawiałem do niej, podniosła wolno głowę w górę, patrzała na

mnie zdziwiona, wreszcie powstała, uczyniła kilka skoków, poczem znów przystanęła, znów mi się przyglądała i nareszcie zupełnie już otrzeźwiona pobiegła przez wymieniony wyżej pagórek, po za którym zniknęła.

A. L.

„Łowca Wielkopolskiego", ilustrowanego dwutygodnika, poświęconego sprawom myśliwskim, wyszedł z druku № 17 i zawiera następujące artykuły:

TREŚĆ: Wł. Czerniejewski: Z teczki myśliwego-naturalisty. (Dokończenie). — Obrazki z życia naszego Koszlona (Dokończenie). — Jak zaradzić ubytkowi w zwierzostanie zajęcy? nap. D. — Odmienne ubarwienie u zwierząt. nap. B. M. — Na rozkładzie. — Od Redakcji. Sprawozdanie z czynności tegorocznych Poznańskiego Towarzystwa Polowań Konnych. — Feljeton: Leopold hr. Starzeński: Juhas, strzelec tatrzański. — To i owo: Jak trzeba być ostrożnym na polowaniu w zbliżaniu się do zranionego zwierza. — Odświeżenie krwi w rodzimych naszych zwierzostanach.— Natręctwo lisa. — Ilustracja: Tropowiec na dziki.

Jedna ze sztuczek lisa. Podczas ostatniego nowiu pochwycił lis zająca na polu, zaciągnął go do oddalonego o jakie 100 m. siedmioletniego zagajnika świerkowego, tutaj zżarł łeb i przodki zajęcze, a resztę zagrzebał w śniegu. Spostrzegł to praktykant leśny pan R., pobiegł tedy po żelaza talerzowe i ustawił je tuż obok zająca. Nazajutrz zrewidował to miejsce, ale ani zając nie był naruszony, ani też lis został schwytany. Wobec tego młodzieniec powziął myśl założenia jeszcze jednego żelaza na wypadek, gdyby lis z innej strony miał nadejść. Poszedł tedy do domu i po upływie mniej więcej godziny powrócił w to miejsce. Ku ogromnemu zdumieniu swojemu spostrzegł, że ani po zającu, ani po żelazie nie pozostało już śladu. Przypuszczać można, że lis, który sobie zająca zostawił na dobre śniadanie, zjawił się w tym czasie i odgrzebał ofiarę swoją ze śniegu. Widocznie tak musiał operować, że zającem poruszył żelazo, które się zatrzasnęło i pochwyciło tylną nóżkę szaraka. Zamiast przerazić się i dać drapaka, lis najspokojniej schwycił zająca i razem z żelazem oraz łańcuchem zadźwigał to wszystko o 20 metrów dalej i tutaj wyprawił sobie ucztę, nie omieszkawszy ogryźć bardzo dokładnie sterczącej w żelazie nóżki. Kartę wizytową zostawił po sobie w postaci wypróżnienia. Jak klął praktykant, gdy to wszystko odkrył, łatwo można sobie wyobrazić.

Kronika myśliwska.

W d. 27 z. m., odbyło sie doroczne polowanie w Kołacinie, dobrach p. Edwarda Lilpopa, na którem w 12 strzelb zabito 151 zajęcy, 15 kuropatw, 10 bażantów i 2 króliki.

Królem polowania był brat gospodarza, p. Bogusław Lilpop z Chodakowa, mając na rozkładzie 25 sztuk.

W d. 14-ym z. m. odbyło się w dobrach Borowno u. p. Adama Michalskiego polowanie, na którem przy fatalnej pogodzie, wietrze i deszczu zabito 178 zajęcy, 4 króliki, 44 bażanty i 1 kuropatwę, razem 227 sztuk. Najwięcej na rozkładzie mieli: hr. Skarbek z Kłobukowic i p. Stanisław Michalski z Głowna—każdy po 52 sztuki.

Z powodu ulewnego deszczu polowano tylko pół dnia, wybierając możliwe suche miejsca w lesie; na polu nie polowano.

Dnia 12 b. m. odbylo się polowanie w 12 strzelb w Ruszkach, majątku p. Witolda Grzybowskiego, w powiecie sochaczewskim. Zabito ogółem 300 zajęcy, kilkanaście kuropatw i lisa. Do saren, biegających w pobliżu zakładów, nie strzelano wcale.

Zaznaczyć należy, iż jest to zdumiewający rezultat ochronnego zwierzostanu w porównaniu z latami poprzedniemi.

Skrzynka do listów.

SZANOWNA REDAKCYO!

I ja chcę wysoko nieść sztandar Leśnika!

A chociaż na szachownicy leśnej czuję się pionkiem tylko, jednak w sprawie ogółu i szeregowiec może zabrać głos.

„Niegodną pisarza metodą jest, wystylizować artykuł, i na nieskończonym postawić kropkę."

Do takich artykułów zaliczam napisany przez pana Wł. Trąmpczyńskiego w Gazecie Leśnej Nr. 10, na str. 280. Należę do rzędu czytelników, którzy w artykule starają się odnaleść przewodnią myśl i cel. Dla wyżej wyłuszczonych powodów zabrałem głos w sprawie: „Czy mamy nadmiar Leśników" i starałem się wykazać, co należy uczynić, ażeby artykuł w założeniu sprostał zadaniu. Jestem pisarzem, co z drogi prawdy zbaczać nie mają zamiaru, w artykułach staram się streszczać rzeczywistość, inaczej nie znalazł bym wyjścia ni drogi.

Jeżeli pisałem o przyjęciu do pracy leśnej nie fachowców, — to nie należy rozumieć, ażebym miał zamiar dać „szalonemu miecz do ręki."

Wszak i autor miłując fachowych kolegów*) pomimo wysokiej inteligencyi, przerzucających się do innej branży, nie wynosi ich na stanowisko: naczelników, dyrektorów, inspektorów, a przeznacza skromne zajęcia: kopistów, konduktorów i t. p. Autor wbrew zasadzie absolwentów, pozwala jednak zawiadywać lasem autodydaktowi; sprzeniewierza się zatem i wytwarza anomalję.

„Godnym politowania jest nasz Leśnik, co chełpi się niemczyzną, i co wielbi splendor, poczytuje sobie, że ze źródeł niemieckich pił zatrutą wodę! **)

„O tempora! o mores!

Pomijając inne wywody Autora nadmienię: Wielu jest między nami, goniących za frazesami, w piśmienictwie rzeczowem, mają one takie znaczenia. „Jak kiedy palcem na ścianie uczynimy krzyż... prawdą jest, że ludzie czynu, mogliby z nienormalnych stosunków tworzyć normalne. Autor zapomina, że w warunkach naszego kraju, gdybyśmy chcieli dopiąć upragnionego przez nas Autora celu, musielibyśmy na własność posiadać wszystkie lasy! Żywiąc dla autora życzliwość, racz przyjąć Szanowna Redakcyo słowa i t. d.

Jan Lipowski.

*) Pan Wł. Tr. wcale leśnikiem nie jest i tylko jako literat poruszył kwestyę, która go zajęła. To samo wypowiedział autor w innem piśmie odnośnie do inżynierów, leśników i rysowników. (Przyp. Red.).

**) Gdzie, kto i kiedy chełpił się niemczyzną??



Uwagi dla kupujących konie.

Przy kupnie koni najważniejszą jest rzeczą, aby dany koń był absolutnie zdrowy i nie miał różnego rodzaju ukrytych zastarzałych wad, któreby mogły obniżyć jego zdolność do pracy.

Ponieważ, jak wiadomo, handlarze chwytają się różnego rodzaju sposobów w celu ukrycia tej lub innej wady konia, przeto pragnę udzielić kilku rad i wskazówek, jak należy postępować przy kupnie koni i na co największą zwracać należy uwagę.

1) Angielskie przysłowie mówi: „wybierając konia, najpierw uważaj na nogi, i jeżeli one cię nie zadowolą, odrzuć go, chociażby inne jego punkta były doskonałe", a więc przedewszystkiem należy zbadać nogi, gdyż one są podstawą jego pracy.

W tym celu należy postawić konia na równem i twardem miejscu, np. na podłodze, przytem tak, ażeby wszystkie nogi stały pionowo. Prawidłowo zbudowane nogi powinny stać zupełnie prosto, jak przednie, tak i tylne, nie mogą być nieco rozsunięte lub zbliżone ku sobie, wpływa to bowiem na wykoszlawienie kopyta; rawnież nogi nie powinny być wysunięte naprzód lub podsunięte pod tułów; stawy skokowe nie mogą być zbliżone ku sobie i wogóle nogi powinny być zbudowane tak, ażeby patrząc na nie z tyłu, tylne zupełnie zakrywały sobą przednie.

Obejrzawszy nogi, należy konia przeprowadzić stępa, potem kłusa, galopa, podczas czego można zauważyć albo jaką kulawiznę, lub też nieprawidłowy chód, polegający na uderzaniu jednej nogi o drugą, z czego powstają rany na pęcinach.

2) U koni czas dłuższy cierpiących na świerzbę (i parchy) włosy z grzywy wypadają, przytem nieraz tak silnie, że konia takiego trudno jest sprzedać; handlarze w takich razach wplatają sztuczne włosy. Dlatego więc trzeba bacznie zwracać uwagę na naturalny wygląd grzywy, dokładnie zbadać jej włosy, a nawet szerść na całej szyi, przez co możemy zauważyć nietylko fałszywą grzywę, lecz także i niektóre choroby skórne, jak egzemę, liszaj, tylczak (nosaciznę skórną) itd.; konia takiego nie kupować.

3) Przy oglądaniu tułowia— trzeba obejrzeć kłąb i łopatki, czy niema na nich śladów odgniecenia lub skaleczenia; miejsca te trzeba oglądać bardzo dokładnie, gdyż szczególniej znajdujące się różne stwardnienia wskazywać będą na zadawnione odgniecenia od uprzęży, co o wiele obniża wytwórczość pracy domowego konia, a nawet spowodować może zupełną jego niezdatność.

Prócz tego trzeba mieć na uwadze, że wszelkie zastarzałe rany na kłębie, a szczególniej fistuły, nieraz dochodzące do łopatki, są już bardzo trudne do wyleczenia, więc konia takiego lepiej odrzucić; handlarze tego rodzaju rany zalepiają różnemi maściami i starają się je zamaskować; należy więc dokładnie miejsca te obejrzeć.

4) U koni nosatych (t. j. chorych na nosaciznę) często znajdujemy drobne stwardnienia w rodzaju guzików, położonych w okolicy stawów barkowych lub biodra, uważnie więc je obejrzeć. Prócz tego dokładnie trzeba obejrzeć nozdrza, czy na ich błonie śluzowej niema plam, ranek lub zaczerwienienia, czy z nozdrzy nie wypływa ciecz; zbadać gruczoły podszczękowe, które nie powinny być obrzękłe, stwardniałe. Opisane objawy będą czyniły konia podejrzanym o nosaciznę, więc lepiej go odrzucić, albo też zasięgnąć rady lekarza weterynarji.

5) Należy przekonać się, czy dany koń niema dychawicy.

Dychawica (astma) pochodzi z wady narzędzi oddychania i należy do cierpień nieuleczalnych. Zwykle nazywają dychawicę: podpaleniem, dusznością piersi i waporami końskiemi.

Gdy koń stoi spokojnie, a nawet przy niewielkim ruchu — objawów choroby tej nie widać wcale. Cierpienie staje się wyraźnem po ruchu, szczególniej pod górę i przy ciągnieniu ciężarów. Koń dychawiczny rzadko się kładzie, a jeżeli to czyni, to długo leżeć nie może; niema ani gorączki, ani zapalenia,

nie traci chęci do jadła, ale po każdym większym ruchu i najedzeniu źle się czuje. Przebiegłszy kłusem, koń ma tętno przyśpieszone, uderzenie serca nieregularne, pukające, oddycha prędko, nozdrza bardzo rozszerza, robi mocno bokami, brzuch ma podkasany, przytem kaszle, a kaszel jest krótki, bezsilny, wilgotny, szczególniej rano przy wyprowadzaniu ze stajni lub przy spożywaniu suchego obroku. Po zmęczeniu widać przy dolnym końcu żeber wyraźny rowek. W wyższym stopniu choroby wszystkie te znaki stają się wyraźniejsze. Po zmęczeniu wybijają się poty, koń zaledwie na nogach utrzymać się może, oddycha rozwartym pyskiem, wysuwa język jak zmęczony pies, a zadnica, czyli kiszka stolcowa naprzód i w tył się porusza. Przy gwałtownym ruchu dochodzi do tego, że koniowi z braku oddechu grozi uduszenie. Po odpoczynku oznaki choroby łagodnieją, koń odzyskuje siły i wesołość i wydaje się zdrów. Zwykle nawet nie chudnie przy tem cierpieniu i jeżeli dychawica nie jest silnie rozwinięta, zdatny jest do pracy. Objawy chorobliwe, podobne jak przy dychawicy, przytrafić się mogą przy zapaleniu gardła, zołzach i influency.

Jeżeli koń oddychając świszcze, sapie, piszczy, rzęzi, syczy, chrapie lub gwiżdże, wtedy dychawica zowie się świszcząca, a handlarze nazywają takiego konia świstakiem lub śpiewakiem. Powodem takiej dychawicy może być sparaliżowanie częściowe krtani, zwężenie szpary oddechowej, zbrzęknięcie błony śluzowej, wyścielającej rurę powietrzną, polipy, zwężenie, spłaszczenie, złamanie tchawicy oraz wady jamy nosowej. Przy ciągłym ruchu świstanie, chrapanie i rzężenie wzmaga się; gdy koń zwalnia biegu objawy te ustają.

Objawy zwykłej dychawicy występują przy rozdęciu lub popękaniu kanalików płucnych, przy częściowem zwątrobieniu płuc lub przyrośnięciu ich do klatki piersiowej, przy zadawnionym katarze oskrzeli, wadzie serca, wątroby, a nawet śledziony. Pasza zepsuta, zapleśniała, zakurzona, stajnie duszne, bez przewiewu, niechlujne, mające dużo amoniaku, pochodzącego z moczu zwierząt, wązka budowa piersi, źle leczone zapalenie płuc, różne wady płuc z natury czyli urodzenia, albo nabyte w ciągu życia, wady rury oddechowej i nosa—oto wszystkie przyczyny, mogace wywołać dychawicę. Zwiększają ją zaś zwykle upały letnie, złe utrzymanie konia, zbytnie przeciążanie pracą i niedobre obchodzenie się. Przeciwnie, dobre postępowanie nietylko przynosi ulgę koniowi, ale może się przyczynić do złagodzenia, a nawet do utajenia choroby.

Podobne objawy do powyżej opisanych występują też niekiedy przy pozornej dychawicy, którą może wywołać nadmierne okarmienie konia, chorego na kaszel, bądź sianem, bądź jaką paszą rozdymającą, z której w żołądku wywiązują się gazy.

Jeżeli dychawica pochodzi z wad narzędzi oddychania, to jest nieuleczalną i zwie się astmą. Koniom astmatycznym przed zadaniem leków trzeba dawać pokarm lekki: latem — buraki, kapustę, rzepę, świeżą trawę łąkową; zimą—makuchy lniane lub otręby z wodą rozmieszane, drobne siano łąkowe, dobrą sieczkę owsianą i owies śrutowany. Wogóle pokarm powinien być taki, aby prędko się trawił, nie zajmował dużo miejsca w żołądku i nie ulegał burzeniu się. Przytem dawać go należy nie w wielkiej ilosci, ale częściowo, po trochu. Z pokarmów rozdymających wydziela się wiele gazów, które uciskają płuca i zwiększają objawy choroby.

Jeżeli dychawica nie pochodzi z wad cielesnych, to daje się koniowi lekarstwo, złożone z dwóch łyżek dwuwęglanu sody, łyżki kwiatu siarczanego, dwu łyżek drzewa słodkiego (lukrecji drewnianej), trzech łyżek jagód jałowcowych i trzech łyżek miodu prznśnego. Wszystko to, rozmieszane z wodą, zarabia się z proszkiem siemienia lnianego na powidła i zadaje się 3 razy dziennie po łyżce.

Dychawicę zwyczajną nazywają gdzieniegdzie handlarze *hiż*. Objawy choroby łagodzą oni przez upuszczenie krwi, oraz zapomocą lekarstw przeczyszczających. Dają też w znacznej ilości oliwę, masło, szmalec i nigdy na targu nie przepędzają konia, aby po zmęczeniu nie wystąpiły wyraźnie objawy choroby.

Jeżeli handlarz nierad z kupna i chce odzyskać pieniądze, to stara się wytworzyć pozory tej choroby przez zakładanie ciasnych podpinek i dawanie karmu rozdymającego, po którym przepędza konia do zmęczenia. Dychawica bowiem należy do wad unieważniających sprzedaż. Nabywca konia dychawicznego ma prawo żądać zwrotu pieniędzy, które za niego zapłacił.

W celu ukrycia oznak dychawicy używają następującego sposobu: w przeciągu 2-ch miesięcy wcale nie dają koniom siana, lecz trzymają go na samym owsie, przed sprzedażą zaś dają różne lekarstwa, zmniejszające chwilowo ciężki oddech; niektórzy dają też proch albo arszennik, a na dzień przed sprzedażą nie dają koniom nic jeść. Wdmuchują też tytoń albo pieprz, ażeby wywołać kichanie i tym sposobem tłomaczą, że koń niedawno się trochę przeziębił. Prócz tego handlarze, wyprowadzając dychawicznego konia na jarmark, z powrotem prowadzą konia stępa, ażeby dać mu możność odpocząć i przez to nieco zamaskować ciężkość oddechu.

Kupując konie do rozpłodu, należy obejrzeć jądra, ażeby one były dobrze rozwinięte i obciągnięte wokoło ruchomą skórką; oba jądra całkowicie powinny być na wierzchu.

Wymię u kobył powinno być bezwarunkowo bez żadnych stwardnień, pochwa musi być wysunięta; wklęsła głęboko pochwa często bywa przyczyną, że kobyła nie może być zapłodnioną i niepotrzebnie męczy ogiera.

Należy również brać pod uwagę świadectwa ze stadnin, gdyż konie niektórych ras

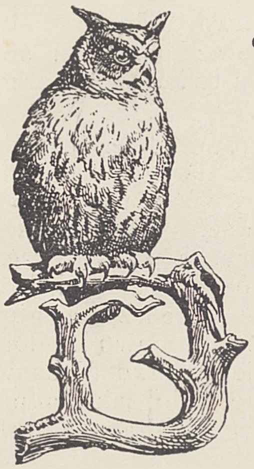
i pewnych solidnych stadnin zalety swoje wiernie przekazują potomstwu.

Wreszcie należy pamiętać, że dziedzicznie przechodzą na potomstwo następujące wady koni:

1) Zwężenie (gwizdanie w gardle podczas ruchu, prawie nieuleczalne).
2) Rak na strzałce.
3) Martwe kości.
4) Płaskie podeszwy.
5) Wązkie piersi.
6) Osobniki jednojądrowe.
7) Dychawica.
8) Szpat (narość na wewnętrznej stronie stawu skokowego).
9) Miesięczne zapalenie oczu.

Lek. Wet. *Z. Olszański.*

KONANIE.



Po parnej, dusznej gęstwiny wpadł potężny jeleń. Nad nim brzęczą złocisto-zielone muchy. Oddech jego gwiżdże, lędźwie pracują, a co chwila oblizuje językiem czarne swe nozdrza. Suche one i gorące -- a tak daleko do chłodzącego moczaru. Od czasu do czasu odgania ranny łakome gromadnice, które tak natarczywie krążą wokoło tego miejsca, gdzie szerść się czerwieni od lepkiej farby i grube krople sączą. One macają, gdzieby najdogodniej jajka złożyć mogły. Nawet pod cielsko swej ofiary włażą; tam rana gore najboleśniej, tam posoka ścieka obficie; dlatego położył się jeleń na lewy bok. Lecz przed tymi szatańskimi dręczycielami nie zdoła się obronić, przy każdem poruszeniu wewnętrzny żar tem goręcej go liże ognistemi językami. Więc cicho leży i cierpi i wzdycha do wody! Wody! Wody! tylko to jedno wyobrażenie żyje w jego drgających nerwach. Cóż go obchodzi wierny jego druh i towarzysz dwunastak i cóż rozkosz wielkiego czasu, który już w nim się spełniał, gdy kulę otrzymał! Tylko wody! Czy jeszcze zdąży do moczaru? Daleko on po za wzgórzem, o pół godziny drogi dla jelenich badyli. Tam nań czeka cień chłodny, tam chciałby umierać — byle nie tu, w tej parnej dusznej ciemni.

Dysząc, trzęsąc się, parując z bólu, zrywa się. Runął nieomal na miejscu, tak mu płoną i kipią narogi! A badyle takie wątłe, zmęczone, jakby połamane.

Ale zrobił jeden krok, potem drugi i trzeci i -- lepiej mu się to udaje, niż się początkowo spodziewał. Zwolna uchodzi z parnej gęstwiny w drągowinę przestworną, ze zgarbionym grzbietem, zwisającą głową, prawie tak, jak gdyby miłosny trop łani-jałówki śledził. Niestety — co innego jemu na myśli! Gdy z wysiłkiem badyl przed badyl stawia, zdaje mu się, że kroczy wysoko po nad podszewkę lasu, hen, w wolnem powietrzu; a wszystko dalekie, zamglone, obojętne! W lędźwiach jego ból się sroży, krew kipiąca łaknie wody; wyschła krtań ryczałaby o wodę, gdyby tylko zdołała. A zielone muszki z brzękiem ciągną za nim.

Teraz zanurza się w starodrzew. Zdala dzwoni piła i siekiera. Słyszy, ale nie zastanawia się nad tem; on wie, że tam ludzie, ci ludzie, wrogowie okrutniejsi od zimy nawet i zarazy — już nie potrzebuje ich się obawiać. Z lędźwi spływa mu czerwono-kroplisto, tu na paprocie, ówdzie na listowie. Rana znowu pali. Prawie, że już nic nie czuje, taka drętwia, taka ołowiana senliwość otumania mu zmysły. Dalej — byle dalej! Tę linię zawsze przesadzał susem; dziś obojętnie po niej kroczy. Za nią rozpoczyna się gęstsza drągowina. Ani się stara po cichu stąpać, wieniec o wszystko zawadza, człowiekowi tysiąc znaków pozostawiając. Wóz z drzewem skrzypi za nim między pniami, głosy się odzywają. Wszystko to już straciło dlań zgrozę.

Już nie może iść dalej, odpocząć musi, aż znów ostatnią resztkę siły zbierze. A tu znów te złote, krwi pragnące muszki! Jak pszczoły roją się nad czerwonym śmierci kwiatem, która im, niby miód słodki, pachnie...

Och, on wie, że to ów człowiek mu sprawił ten ból! Ów człowiek z siwą brodą, którego przez siedm zim za dobrego uważał, bo mu nosił siano i śnieg odmiatał i słone kamienie kładł w ulubione jego miejsca. Ale dobrodziejstwo tych istot potężnych nie jest bezinteresowne; dają na to tylko, aby brali...

Dalej — byle dalej, nim krew zakrzepnie, płomień zagaśnie.

Z jękiem się zrywa.

Drągowina, starodzew, linia, pnie wysokie, polanka....

Niby przez sen widzi, jak się rzędy drzew przed nim przesuwają. Zna każde łowisko, każdy pień! Tu zrzucił przed dwoma laty wieniec swój o dwunastu ogonach, tam wytarł zeszłego lata siedm już gałęzi u każdej łodygi. Lepsze nigdy przedtem wieńca jego nie zdobiły; latoś zadowolić się musiał nieparzystą dwunastką. Tam sianko na drabinkach założono, a po drugiej stronie lizawki; w tym rewirze rywala szesnastaka ledwo że na śmierć nie zarogował. Już wchodzi w gęsty młododrzew, gdzie niegdyś zgrzybiały dziesiątak nagle przystanął i jak kłoda legł w chruście. Oto tu wśród duktu łańka

runęła, tam znów po raz pierwszy tajemnie miłosnych zażywał rozkoszy, podczas gdy rywal spał wśród paproci...

Lasy przesuwają się przed nim tak, jak obrazy jego doli. W zagasłych jego świecach nie odzwierciedla się już nic. Patrzy tylko na igliwie, które, kiedy zwolna dalej stąpa, pod badylami jego w tył się cofa. Kroczy nieświadomie, bez woli; bez siły wlecze się przez gorący dzień latowy.

Tylko to jedno wie, tam gdzieś, w głębi duszy: tam jest woda, tam go prze popęd głuchy, ostatnia tęsknota.

Z drzewostanu wychodzi na porębel. Powietrze migoce, motyle kołyszą się nad sążniami, pod modrem niebem szybują już błyszczące jaskółki.

Żarzące słońce prawie ulgę mu sprawia, bo w badylach uczuwa już zimno, ciężkość obezwładniającą.

Dalej — byle dalej! Toć tam leży ten moczar ożywczy.

Znów zasuwa się nad nim cień głęboki. W tych ciemnościach jednak najlepiej. Tu od bagna chłód wieje, zapach błotny unosi się nad gulgocącym murszem.

I lega w czarnej wodzie, gdzie stoją olchy. Teraz przynajmniej muchy mu nie dokuczają. Nie mogą dotrzeć do czerwonego miejsca w boku jego, ono spoczywa w wilgoci. Coś go zmusza, aby przymrużył świece, wargi dotykają szlamu. Przy każdem tchnieniu gulgoce on i na nowo się zamąca.

W ten sposób przeleżał niejeden dzień w lecie, gdy w zagaju upadł, w gęstwinie komary zanadto mu dokuczały. Tu znajdował zawsze spokój i sen.

Nie śpi, lecz świece mu się zamknęły, jak w marzeniach rozkosznych. Nie marzy, ale nie ma też przytomności. Tylko czuje chłód i tę wilgoć przed wargami.

Cichuteńko w lesie; cichuteńko jak w komnacie, gdzie śpi niemowlę w kołysce. Nie słychać uderzeń siekiery, ani wołań ludzkich. A ze zwierząt wszystkich czuwa jedynie bąk, który tam na porębłu około szałwii buczy, i dzięcioł. który wysoko pod wierzchołkiem dębu bolesny swój krzyk samotnego bólu wydaje.

Ale tam daleko z tyłu, w gęstwinie, gdzie się par w kłąb zbił, tam stoi siwy człowiek w siwej brodzie, a obok niego biegnie gładki pies, płowy jak jeleń, pies ze smutnemi oczyma i posępnem czołem — to pies śmierci, który znajduje trop powolnego konania i aż do końca po nim przebieża. Schyla wietrznik głęboko w listowie: tam leżą krople czerwone, lepkie, drobne kałuże, z której wzlatują chmary błyszczących muszek. Ale ani człowiek, ani pies nie dają się odwieść z tropu. Siwy mąż się schyla, bada, przewraca, obwąchuje przepojone czerwoną posoką igliwie. Potem chwali niecierpliwego towarzysza; „Dobrze mój piesku, naprzód, szukaj!".

Jeleniowi pełza drętwa lodowata po badylach coraz wyżej, coraz bliżej ku sercu. Zesztywniały już członki; tylko we wnętrznościach żar kipi ukropem.

Potem ogarnia zimno i mięśnie. Pajęczemi nóżki maca wzdłuż tuku w pacierzach, już czycha, jakby pochwycić serce łomocące w podskokach. Chwyta je. Wpija się w nie szponem; czarna woda tryska pod uderzeniami biegów, szlama się rozbryzguje. Konający raz jeszcze unosi swą uwieńczoną głowę, w gardle charkoce i rzęży, pionowo ku dołowi schylają się łodygi i ciepły prąd błyskawicą przebiega trzepocące się ciało, jak stal prężą się badyle, wzdłuż nich zadrgały małe bałwanki wody.

Skończyło się; rozkosz śmiertelnego kurczu słabnie. Ciężko osuwa się głowa w klaszczący moczar: jedna łodyga leży w błocie, druga sterczy w górę. — Hen, po nad borem stoi święte południe.

K. Str.

Za tak liczne dowody uznania dla naszej pracy, za objawy wielkiej życzliwości i serdeczne życzenia, złożone nam z powodu Nowego Roku, składamy wszystkim Współpracownikom, Kolegom, Prenumeratorom i Przyjaciołom pisma naszego wyrazy głębokiego podziękowania, życząc wzajemnie lepszej doli.

Redakcya „Gazety Leśnej i Myśliwskiej".

Warunki przedpłaty z dostawą. W Warszawie i na prowincji: rocznie rb. 8:— półrocznie rb. 4. — kwartalnie rb. 2. — za granicą: rocznie koron 24. — lub marek 20, — półrocznie kor. 12 lub mk. 10, — kwartalnie kor. 6 — lub marek 5.; — pojedyncze numera 40 kop.

Przedpłatę przyjmuje administracja, jak również każda księgarnia w Warszawie, na prowincji i za granicą.

Za listy nadesłane do Redakcji pismo nie bierze żadnej odpowiedzialności.

Ze zmianą adresu prosimy nadesłać po 20 kop. w znaczkach pocztowych.

Wydawca: **Gustaw Buseck-Busecki.** Redakcja i Administracja: **Nowy-Zjazd Nr. 7.** Za redaktora **Zygmunt Dekler.**

Druk A. Zięckowski i S-ka Warszawa, Widok 3. Telef. 135-10.